

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 24 SIERPNIĄ 1929 ROKU

NR. 54

TREŚĆ NUMERU: Starzy i młodzi — *Haen*. Misja zawodu — *Jan Belcikowski*. Poezje: „Nad morzem“, „Rzeka“ — *Maryla Czerkawska*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Konfuzja pana Ignacego — *Z. Reutt-Witkowska*. W poszukiwaniu siły — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *J. K-ska i Wanda Łankajtes*. Szkoła gospodarcza w Działdowie — *Emilja Sukertowa*. Uprawa truskawek — *Zofja Wróblewska*. O odżywianiu na P. W. K. — *Pani Elżbieta*. Zbierajmy nasiona z naszych morw — *F. G.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Modne uczesania — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

STARZY I MŁODZI

Bezustanna zmienność rzeczywistości jest wistocie tylko różnicą kolarzeń. Niektóre energie słabną na pewien czas, inne zwyciężają i organizują się czasowo w nowe formy. Przejście z jednej formy w drugą ma jednak zawsze cechy walki i tak walka jest właściwie normalnym zjawiskiem, a jedynie skala jej napięcia bywa różna.

Najbardziej normalnym przejawem tej walki jest odwieczny spór między pokoleniem starszych i młodych. Bo te dwie energie rozpoczynają walkę, gdy ustępujący są jeszcze w pełni sił, a młodzi nabrzmiewają wartościami potencjalnymi i pragną je jaknajrychlej zużytkować. Jedni mają za sobą doświadczenie i rezultat pracy, drudzy są narazie obserwatorami i konsumentami tej pracy, mogą więc zważyć i ocenić wysiłki tamtych. Stąd też krytycyzm młodych wobec tego, co zdziałało pokolenie starszych, i stąd też niedowierzenie starszych wobec poczynań młodego pokolenia.

Jest w tem zmaganiu niewątpliwie tragizm przemijania wartości, zwłaszcza ideowych. W tej dziedzinie bowiem — skoro przyjmujemy idee, jako impuls czynu — nieporozumienia stają się zacieklejsze i boleśniesz. W przesadnej obawie o trwanie idei czyni z nich pokolenie starszych — ideały i konsekrując je, uważa młodych niedowiarków za bluźnierców. Przyszłość, którą budowali starsi, napęłnia się cieniem lęku, a często własnymi jeszcze bystreimi oczami widzą starsi zmianę swoich zamierzeń, albo nawet zły los każe im patrzeć na zniszczenie tego, co było czynem i trudem ich całego życia.

Najsmutniejsze jednak w tej walce jest, że

wszelkie wyrozumowane racje muszą ulec prawu przyrody. Starzy odchodzą — młodzi stwarzają swój świat. I trzeba pocieszyć się tylko jedną prawdą, że właśnie w wieczyście przetwórczej przyrodzie nie idzie na marne, że więc to, co się wydaje odmienne, nie jest niczem innym, jak nowym skupieniem tychsamych elementów, nową konfiguracją drobin.

Rozważam te sprawy dramatu ludzkości, jako dziś dla nas bardzo aktualne. Bo pokolenie, które przeżyło wojnę i cudowność odrodzenia ojczyzny, patrzy z lękiem i bodaj z niechęcią na spadkobierców swojej męki i swojego szczęścia. Prostu wydaje się starszym, że przerwała się ciągłość wszystkich pojęć, że nic z przeszłości nie będzie już miało swego trwania w czasach, które przyjdą. Mówi się: „Nigdy nie było takiej przepaści między starszymi i młodymi!“.

W tej przesadzie jest niewątpliwie sporo prawdy. W okresie przedwojennym i niewolnym istniała bowiem współpraca pokoleń starszych z młodszymi. Była to przecież praca nad ideą przez dziesiątki lat — niespełnioną. Tak, czy inaczej naświetlano idee wolności, lecz istota jej była niezmienna, jej cel zawsze ten sam. Nowe metody, nowe siły raczej ją wzmacniały, raczej korygowały błędy. Pozytywizm poprawiał to, co było ujemne w romantyzmie, neoromantyzm poderwał z przyziemności pozytywizm, więc walka między następującymi po sobie pokoleniami była właściwie tylko formalna.

W chwili jednak, gdy idea wolności stała się rzeczywistą wolnością — idea przestała istnieć w zastosowaniu do naszego jednostkowego wypadku. Pa-

radoksalność tej prawdy jest dziś szczęściem i nie-
szczęściem starszego pokolenia. Bo ono to właśnie,
uzyskawszy wszystko, jednocześnie jakby utraciło
swoją treść. I dlatego w pracy pokolenia, które
przekroczyło próg wojny, jest ogromny trud zma-
gania się ze swoją własną załamana psychiką. Tu
tkwi zresztą źródło pesymizmu, bo wysiłek pracy
w nowych warunkach jest niespółmierny z rezulta-
tami, a jednak starsi już nic więcej, ani nic lepiej
nie mogą zdziałać. Nie mogą się zmienić, nie potra-
fią wykryć omyłki w swoim rachunku sumienia.

Omyłka ta nie wynika, bowiem, z świadomej
winy i jest wrodzona duszy starszego pokolenia na-
poły romantycznego w sposobie myślenia i nieco
święteckiego w nastroju. Tymczasem jednak nasza
wolność jest dniem powszednim: nie jest ani zbyt
górna, ani zbyt niska, ma swoje pospolite troski na
każdą porę i dla każdej dziedziny. I tak właśnie pra-
cowicie odmierza swój czas ku przyszłości, która
należy już do innego pokolenia. Nic na to nie po-
radzą pesymiści, że to dorastające teraz pokolenie
oddycha innem powietrzem, że, nie „okuci w powi-
ciu“, nie znają pewnych sentymentów, pewnych po-
jęć, dawniej aktualnych. „Nie mają ideałów!“ —
biadają starsi, choć w rzeczywistości i ci starsi już
nie mają swoich ideałów młodości przedwojennej.

I właśnie sprawę ideałów należy rozpatrzyć,
zanim potępimy młodych. Niewątpliwie idzie czas
„neopozytywizmu“, jako nowej formy wyżywiania
się energii twórczej zapomocą pracy realnej. Nasza
nowa rzeczywistość jest przecież, jak sito, podziura-
wiona — brakami. Są to niedomogi oczywiste i real-
ne, trzeba je usuwać pracą oczywistą i realną. I oto
już jest idea, która napewno nie zdąży stać się idea-
łem, bo musi szybko i sprawnie zamienić się w czyn.

Zapewne — większy był zasięg myślowy i uczu-
ciowy wówczas, gdy idea była wolność całej ojczy-
zny. Dziś jednak nie należy pogardzać tym małym
wycinkiem pracy, który sobie wyznacza młodzież.
Powie kto: — Dziadek zginął w powstaniu, a jego
dobra skonfiskowano; ojciec porzucił świetną karje-
rę i poszedł do legjonów; a syn chce być zdolnym
lekarzem. Niczem więcej, tylko — lekarzem, adwo-
katem, urzędnikiem, agronomem. Nie chce cierpieć,
ale swoją pracą dorobić się dostatku, zaszczytów, po-
wodzenia. Więc zwyczajnie — praca dla celów przy-
ziemnych. Lecz, aby osiągnąć te przyziemności, musi
się odbywać wyścig pracy, współzawodnictwo zdol-
ności, umiejętności, zręczności. A w ten sposób war-
tość każdej pracy musi się spotęgować, co w sumie
da wyższy poziom całokształtu pracy naszego spo-
łeczeństwa. I znowu mamy ideę już piękniejszą, już
bardziej wzniosłą: — pospólne dążenie.

Istnieją jednak wśród starszego pokolenia pe-
symiści, którzy twierdzą, że dążeniem dzisiejszej
młodzieży jest tylko chęć używania, a conajwyżej
pospolite, gruboskórne karierowiczostwo. Ale jeżeli

tak jest w istocie — winić o to należy właśnie star-
szych. Oni to bowiem swoją dwoistością sprawili,
że młodzież przestała wierzyć frazeologii górnych
słów, tak odmiennych od powojennej etyki, stoso-
wanej w praktyce. I dlatego sędzę, że lepiej jest,
jeżeli młodzież odrzuca fałsz i swoją, choćby pospo-
litość, ukazuje jawnie. Może właśnie w tej ich szcze-
rości o nie nazbyt świetnym obliczu, w tej ich zwy-
klej mowie, którą starsi poczytują za cynizm, na-
stąpi oczyszczenie atmosfery powojennej. Napewno
w tym „bezfasonie“ tkwi zdrowszy duch, niż w obłu-
dzie dnia obecnego.

Samokrytycyzm jest niejako cudowną wodą, le-
czącą — zaślepienie. Mam wrażenie, że starsze po-
kolenie powinno się poddać takiej kuracji, aby nie
krzywdzić zbyt młodych. Tacy bowiem ludzie bę-
dą potrzebni Polsce, która idzie — tacy właśnie
pracownicy i robociarze na tych wszystkich drogach
jeszcze wyboistych, na tych drogach, których żadną
miarą nie należy konserwować w dzisiejszym stanie,
mimo, że kroczyła po nich przez wiele dziesiątków
lat świętość idei. Tacy właśnie prości, zdrowi i silni,
nie mający ochoty cierpieć, kiedy można pracować
i żyć radośnie. Już przecie dziś, acz nieudolnie, roz-
poczynamy radosną twórczość, a któż to wie, czy
przyszłe pokolenie swoją własną metodą nie roz-
wiąże łatwo i bezboleśnie tych problemów, nad któ-
remi się biedzimy. Myślę o problemach społecznych,
politycznych, ekonomicznych, które dziś po wojnie
przeżywają kryzysy, wybuchają eksperymentami,
niby wygasłe wulkany, i grzebią rozpoczętą pracę.

Nie mam zamiaru odbierać wielkości naszym
dniom obecnym, ale napewno starsze pokolenie zo-
stawi młodemu w spadku błędy do naprawienia. I też
napewno czułość, którą starsze pokolenie żywi dla
swojej młodości „górną i chmurną“, nie mieszka
już w sercach młodych. Jakies inne czule pamiątki
poniosą ze sobą w dojrzałe lata: może to będą wspo-
mnienia o zdobywaniu swojej ludzkiej wartości, mo-
że właśnie świadomość swojej odmienności od poko-
lenia starszych, a może nawet podziw dla bohater-
stwa starszych, dla wielkich ludzi, którzy byli ich oj-
cami. Mówiła mi niedawno jedna pani: „Strach po-
myśleć, jacy to ludzie wyrosną z dzisiejszej mło-
dzieży!“. Nie, doprawdy, niema się czego lękać, skoro
dziś, gdy jesteśmy wolni, trzeba nam chleba dla
zjadaczy chleba. Niema już zapotrzebowania na anio-
łów. Zresztą, hasła demokratyzmu, liberalizmu, hu-
manitaryzmu są dziś już chlebem powszednim —
trzeba właśnie, aby młodzież, zasiadając ze starszy-
mi do stołu, żywiła się tym pokarmem. To jest obo-
wiązek tych, którzy z natury rzeczy mienią się wy-
chowawcami następnego pokolenia. Niestety, jednak
starsi, przedenerwowani przeżyciami wojny i chao-
su powojennego, są nadto niecierpliwymi pedagoga-
mi. I dlatego — taką niesprawiedliwą „cenzurkę“
otrzymują młodzi!

Haen,

JAN BEŁCIKOWSKI

MISJA ZAWODU

Stwierdzona przez badaczy dawniejszych, takich, jak Jastrow, Havellock, a u nas, na innej nieco płaszczyźnie, Dawid, oraz przez nowoczesne badania psychotechniczne (patrz: „Bluszcz“ Nr. 33) przydatność kobiet narówni z mężczyznami do różnego rodzaju zawodów — nie rozwiązuje bynajmniej zagadnienia najistotniejszego, a mianowicie: sprawy uzgodnienia pracy zawodowej kobiet nietylko z interesami produkcji danego biura lub rzemiosła, ale i z interesami narodu, rasy, ludzkości, jednym słowem — z jej powołaniem.

Dla zorientowania się wśród tych wielkich horyzontów możliwości, które się otwierają obecnie przed światem kobiecym, na tle tragicznych chwilami przeżyć ludzkości, musimy rozpocząć od stwierdzenia tych głębokich przemian, które zaszły ostatnio w samym pojęciu „zawodu“.

Nie chodzi tu już tyle o rozklasyfikowanie, ile wprost o jego istotę społeczną, narodową, ogólnoludzką i nawet kosmiczną, o jego, że tak powiem, misję cywilizacyjno-kulturalną.

Otóż, pojęcie zawodu zostało dziś znacznie pogłębione i zasadniczo, powiedzielibyśmy, oddzielone od pojęcia specjalności. Wszak można być doskonałym specjalistą, a działać ze szkodą zawodu; można najumiejtniej obchodzić się z maszyną, a zamęczać i zanudzać ludzi.

Ten stan rzeczy znajduje poniekąd uznanie i w założeniach Naukowej Organizacji, która dopuszcza przecież do decydowania w sprawach organizacyjnych przemysłu np. żelaznego, doktorów medycyny (patrz — William Kent: „Badanie zakładu przemysłowego“).

Wogóle, historycznie rzecz biorąc, zbliżamy się do dawnego średniowieczno-rycerskiego pojęcia zawodu i zarazem, jak wykażemy później, do ureligijnienia całokształtu życia i stosunków społecznych. I tu właśnie, w tych ośrodkach nowej energii, nowych bodźców i pobudek (stymulansów) do pracy należałoby, w naszych oczach, szukać wielkich ról i osobliwszej misji dziejowej, jakby przeznaczonej dla kobiet do wykonania.

Tylko, powtarzamy raz jeszcze, uprzytomnić sobie należy, że, zaprawdę, i nasze społeczeństwo, i ludzkość cała znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie i, jak dotychczas, niebezpieczeństwach tych, podminowujących naszą rzeczywistość, tych tragicznych sprzeczności pomiędzy ideałami, a ich wykonaniem — nie są w stanie usunąć (jak wspomnie-

liśmy w poprzednim artykule), ani demokracja, ani socjalizm, ani różne rządy i konstytucje, ani wreszcie, żadne racjonalizmy i taylorizmy, ani najcudowniejsze urządzenia techniczne, ani, niestety, tembardziej żadne teatry, powieści, obrazy, rzeźby i t. p.

Czarne, bezbrzeżne, o falach wysokich, jak góra, morze nienawiści i zła sunie na świat (weźmy, chociażby, ostatnią powieść Jasińskiego: „Palę Paryż“), a powstrzymać je mogą nie różnego rodzaju suche, ciasne, automatyzujące specjalności, ale opromienione wielkimi uczuciami i natchnione potęgą nadprzyrodzonego powołania — zawody.

I oto na całym, bądź co bądź, szerokim froncie europejsko-amerykańskim rozpoczyna się gwałtowny, potężny zwrot do Tego, jak mówi Wells, który śni wszystkie sny i jest Bytem wszystkich bytowań („Sen“ — str. 396).

Powstaje epokowe nawoływanie do ureligijnienia życia.

Zróbmy krótki przegląd tych nawoływań (oczywiście, tych nieoczekiwanych, samorzutnych, nie z obozu wiernych, a raczej — nawróconych).

Weźmy, np., z najbliższego nam brzegu takie medytacje socjalisty polskiego, p. Bronisława Siwika, p. t.: „W walce o Prawdę“ (rzecz dziwna, że cała nasza prasa przeszła nad tą książką do porządku dziennego, absolutnem milczeniem).

„Na tle doświadczeń bolesnych — pisze p. Siwik — i ciężkich przeżyć rozwija się w Europie ruch religijny. Znękanе, przemęczone, skrwawione, zdziśiatkowane masy ludzkie zaczynają obracać oczy ducha ku Wiecznej Tajemnicy Bytu“ — ...i „ten ruch religijny — to jedyny zwiastun twórczych poczynań, bo sięga najistotniejszej, najgłębszej osnowy bytu“ (str. 9). „Teorie socjalizmu mogą być i są różne. Lecz jednoczy je wszystkie oraz jest ich sprawdzianem świadoma wola budowania Społeczności Bożej na ziemi...“ (str. 12).

A teraz, wglębmy się w te prądy, nurtujące socjalizm zachodni, w te wezwania do walki z egoizmem klasowym i drobno-mieszczańskim i wogóle z tą całą duszą burżuazyjną (bo i robotnik ma część tej duszy) pod hasłem powrotu do chrześcijaństwa, do walki — nie o interes klasy, ale o dobro powszechne — czyż nie usłyszymy tam, w tych wezwaniach de Man'a, André Philip'a, a dawniej Pegy, jakgdyby obudzonej w głębiach wieków melodji, ożywiającej to bohaterskie, dawne rycerstwo? tę w ideale swoim obronę wdów i sierot, słabych i uciśnionych?

Oto, były przywódca belgijski partji robotniczej, Henri de Man, oświadcza: „niemasz nic bardziej realnego w człowieku, nad moc boską prawa moralnego“. A programowo tak określa różnicę pomiędzy socjalizmem (w jego pojęciu), a bolszewizmem i faszyzmem: „To zrozumienie wychowawczego zadania socjalizmu rzuca światło na różnicę esencjonalną, która przeciwstawia socjalizm, oparty o chrześcijańską i demokratyczną ideę samookreślenia (l'auto-determination), faszyzmowi i bolszewizmowi, wykorzystującym poczucie wyzysku i potrzebę dyscypliny i strachu.

(André Philip: „Henri de Man et La crise Doctrinal du Socialisme“ — page 185).

Tenże prof. André Philip, z innych znów zasad wychodząc, do tych samych, co i Man, dochodzi decyzji. „De Man“ — oświadcza — „od marksizmu przeszedł do chrześcijaństwa, ja zaś od chrześcijaństwa doszedłem do socjalizmu. Nie masz antagonizmu“ — stwierdza po długich badaniach i studjach — „pomiędzy chrześcijaństwem, a socjalizmem; obydwaj stoją na straży dobra powszechnego. Ale należy czuwać, aby kapitalizm nie zdeprawował i jednego, i drugiego“.

I, rzecz charakterystyczna, jak dawne rycerstwo nie cierpiało zasklepionego w handlu mieszczaństwa, podobnież ci socjolodzy nie znoszą, nie uznają wartości powszechnych w łapczywym, ciągle czyhającym na dobro ogólne, samolubnym kapitalizmie — w burżuazji.

Ten sam kryzys, na tem tle duchowego realizmu, przeżywa i kultura amerykańska. Jeszcze w roku 1922 ukazała się w Nowym-Yorku książka p. t.: „The civilisation of the United States“, w której 30 wybitnych amerykańców i amerykańek poddało bezwzględnej krytyce amerykańską literaturę i prasę, uniwersytety i wychowanie, sztukę i poezję, religję, naukę, filozofję, słowem wszystkie dziedziny amerykańskiego życia duchowego. I tam, przyszłość budujące, prawdziwie żywotne siły podejmują walkę przeciwko truciznie niwelacji, przeciwko obrońcom umarłej, skostniałej przeszłości, walkę — o duchowe i społeczne odrodzenie, o wszechstronniejszą, niż to może dać psychotechnika, znajomość duszy ludzkiej, o nowe ukształtowanie pracy wychowawczej i życia religijnego. (Patrz — Dr. Jan Zbinden: „Kryzys kultury amerykańskiej“ — miesięcznik „Droga“ Nr. Nr. 3, 4, 5 — 1928 *).

A owa potrzeba prawdy absolutnej, owa tęsknota za autorytetem, tak żywo odczuwana przez myśl akomunistyczną rosyjską, która doprowadza ją do zdecydowanego oczekiwania Nowego Średniowiecza (Berdiajew) — czyż to wszystko nie są objawy zbliżania się, potęgowania, realizowania, wielkich, wieczystych idei, tych idei, które dawniej blaskiem wieczności opromieniały ziemię? (patrz — „Droga“ Nr. 6, r. 1929).

Ale tu właśnie rodzi się niepokojące pytanie: kto, mianowicie, te idee wprowadzi w życie, kto będzie ich wykonawcą? Boć to wieczysta tragedia tych idei, tych objawień genjuszu i ducha, że nie znajdują wykonawców.

Kto, w tem nowem społeczeństwie, opartem już nie na przymusie, nawet nie na umowie, ale na ciągłym zachęcaniu się wzajemnem, zagrzewaniu, jak dawniej mówiono, do boju (nie napędzaniu, ale właśnie — zagrzewaniu), powołany jest do odegrania tej najbardziej zaniedbanej, nawet sponiewieranej w ciągu wieków, pełnej poświęcenia — misji wykonania?

Otóż, tu mimowoli oczy nasze i myśli zwracają się ku tym skoncentrowanym przez samą naturę, ogniskom uczucia i intuicji, które, jak twierdzi p. Grossek - Korycka, ożywione tym uczuciem, cudów dokonać mogą — ku kobiecie.

Uznane przez obserwatorów ich pracy zawodowej (właściwie specjalnej) jako przedewszystkiem znakomite, powiedzielibyśmy, aparaty rozkazobiorcze, za talenty wprost nietyle organizatorskie, ile egzekutorskie (w sensie najlepszego wykonania), zdobyły sobie kobiety takie samo stanowisko i w świetle badań naukowych.

Dla zaznajomienia się z rezultatami tych badań zwrócimy się znów (jak poprzednio do Havellock'a) do uczonego starszego pokolenia, do J. K. Potockiego, który w znakomitem swoim studjum: „Współzawodnictwo i Współdziałanie“ — przeprowadza też ścisłą analizę porównawczą pomiędzy mężczyzną a kobietą, ale ze stanowiska raczej ich misji dziejowej, nie zaś pracy ściśle zawodowej.

*) Sztandarowym pisarzem tej nowej „Ameryki Walczącej“, łączącym niezwykłą śmiałość myślenia z głębokim odczuwaniem religijnem, jest R. M. Holzapfel.



NAD MORZEM

I.

Przywiędły fiołkowe pola
 Ciemniejsze od fiołków z Parmy —
 Szarzeją murawy nurtów,
 Zabraknie dla oczu karmy.
 Słońce niepoczytalne
 Z rydmy do morza skoczyło — —
 Kto teraz, kto stanie przy mnie?
 Śmierć czy miłość?

II.

Kołuje i kluczy zmierzch,
 Podchodzą fal białe foki.
 Zraniony labędź już pierzchl,
 Gdzieś, za brzeg, zapadł obłokiem.
 Zmierzchowi śpiem u stóp
 Piasek melodje najcichsze.
 Co teraz: życie, czy grób,
 Jest mi bliższe?

III.

Szuka, szuka, szuka kogoś wiatr
 Na wysokiej, kamiennej tamie.
 Morze szemrze, pluszcze. —

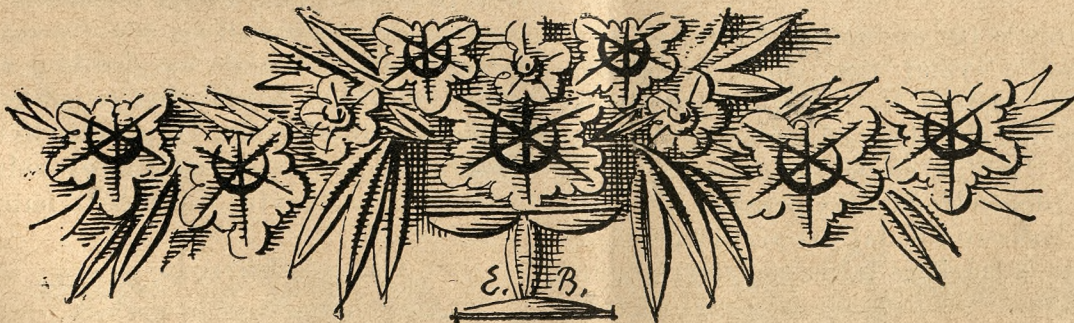
Otwórz się

Zamknięty serca Sezamie.
 Bezmiesięczna, chłodna, biała noc
 W twarz mi patrzy zimno i surowo —
 W samotności kto wspomóż mnie
 I przypomni to słowo, to słowo.

RZEKA

Rzeka,
 o rękojeści
 jak ostry, obosieczny miecz,
 do połowy w trzciny pochwie ukryty,
 rozlewiska,
 rubinami zachodu nabitej,
 na dwoje
 przecięła park szeroki.

I próżno brzeg jeden czeka,
 gazonami ogląda się wstecz
 na dwór, co w głębi białą błyska —
 próżno drugi lipami szeleści,
 alei otwiera podmoje — —
 — Nie ma ręki, co uniosłaby miecz
 w obłoki.



HERMINJA NAGLEROWA

16)

ZAWALIDROGA

(powieść)

I już w tym samym tonie o tej dzisiejszej młodości — wesołej, różnej, harcerskiej, sportowej, rozumnej, wyrozumiałej. A dalej — że dlatego życie dziś łatwiejsze i dla nas, starszych. Niema przecież zawiłań, dramatów, mokrych ściereczek sentymentalizmu. Poczem już jednym tchem słodziutkie rozpytywania:

— Jakże mamusia w Warszawie, jakże tam piękna, złota pani Zosieńka?

— Proszę jej powiedzieć o dobrym, wiernym przyjacielu, który na wieki, na wieki...

Oddech palacza przyprawiał o mdłości. Na szerniałych, wydłużonych zębach ślinił się zielony jad podstępnych i napewno celowych pogadywań. I dlatego trzeba było wstydzić się swojej poprzedniej wesołości, gdy tak tu imię matki kleiło się na plugawych ustach.

Tymczasem ojciec z Hala usiedli na sofie i niemal jawnie czulili się do siebie oczami. Franek musiał tu udzielać grzecznych i bezmyślnych odpowiedzi, że właśnie tak, że owszem, że prawdopodobnie... Ale ramiona odczuwały już ochotę roznieść to napierające na niego natręctwo, przepchać się bodaj brutalną pięścią przez te pytania, odnoszące się do tamtych, nieledwie już zapomnianych spraw. Niechby się lepiej ciekawy pan przypatrzył temu, co się tu dzieje pod nosem, niechby się tych tu zapytał o ich sprawę i sprawki!

Jednakże właśnie po wizycie Łuczańskiego wiele się poprawiło we wzajemnych stosunkach. Zwłaszcza Hala jakby zakreśliła szerszy łuk patrzenia, bo Franek wszedł już w jego obręb. Rozmowy bywały teraz wspólne i zdarzało się nawet, że Hala przyznawała raczej słusność Frankowi. Nie dało się wcale ukryć, jak bardzo cieszą te triumfy nad ojcem, a niemniej cieszył się Franek, że ojciec odczuwał swoje osamotnienie. Można to było poznać po apodyktyczności tonu, po tej twardości głosu, który krótko, niby komendą, rozstrzygał według własnej woli. Sojusznicy milkli trochę zastraszeni i jakby czemuś winni.

Franek prawie już nie mieszkał teraz w oficynie, tyle tylko, że sypiał tam snem, wplątany w dnie, któreimi rządziła Hala. Zagnieździł się tak nieproszony we dworze, niewrażliwy na niczyje chęci lub niechęci. Huśtając się w fotelu, patrzył przez ażurowe liście filodendronu, niby przez oczy reductowej maski, na laskawe i bodaj już przyjazne uśmiechy Hali. Często w sadybie na ławce siedział obok niej i cierpliwie przypatrywał się haczkowaniu włóczko-

wego szala. W smagłych palcach spinały się węzłki kosmatych nitki, a w atłasie ciemnych włosów przepływał blask zieleni, odbity plamami, jak w polerowanym metalu. Owoce spadały tuż blisko, albo gdzieś w głębi sadu i ploszyły tępemi odgłosami leniwy dyskurs. Na chwilę w ciszy biedził się niespokojny oddech, bo nielatwo było o tematy wspólne a długotrwałe. Tembardziej, że Hala umiała każdą rozmowę zaprzepaścić obojętnością. Jakgdyby nie posiadała własnego zdania, bo zawsze godziła się na: tak i nie.

— Czy lubi pani wieść?

— Oh, tak.

— Nie wiem, jak teraz wytrzymam w mieście. Chciałbym tu nazawsze... Tu czuję się, jak w domu, choć przecież całe życie, no, prawie całe... mieszkałem w mieście.

Powinna mu była na to odpowiedzieć: Niech pan nie wraca do miasta — ale wołała przemilczeć tę kwestję. Bo, dokąd to zmierzał taką mową? I, jakby się tu wszystko ułożyło, gdyby naprawdę został w Kalińcach? Wiedziała wprawdzie, że ojciec nie wlicza syna w swoje najbliższe plany, nikt jednak nie może napewno wiedzieć, czy nie zmieni się coś tutaj i czy ten syn ze swojemi prawami jakoś nie zawży. Nieznaczny był jeszcze niepokój Hali, ale już ją mądrze pouczał, że nie byłoby dobrze, gdyby Franek tu został.

Zainteresowania Franka stały się teraz doprawdy maluczkie, skoro codziennie rozpytywał z powagą, czy dużo rządaków przybyło w szalu. Zanikły górne ambicje, a zato przyjemnie było wystroić się w pstrokaty pullover, aby usłyszeć od Hali:

— To dziś na sportowo?

Ku ojcu szły myśli raczej już litościwe. Widziało się, zwłaszcza w plainairze, całą śmieszność zrzedziały pasemek włosów, które niezupełnie pokrywały łysinę, a nie do zliczenia były bruzdy zmarszczek koło ust i przy zbyt już wyraźnym zarzysie brody. Działy się tu zresztą i inne sprawy. Bo Franek rozpanoszył się swoją młodością i przy każdej sposobności popisywał się siłą. Dźwigał hantle, albo bodaj podnosił krzesła za przednią nogę. W sadybie stanął rek i Hala musiała być świadkiem gimnastycznych kunsztów Franka. Gdy ojciec był przy tem, Hala aż nadto głośno wyrażała swój podziw, niemal zamierała z zachwytu. Kaliniecki natomiast podrwiwał:

— Uważnie, nie ręczę za szwy w spodniach!

— Ale czasem twardy grzbiet ojca bezskutecznie

usiłował współzawodniczyć z gibkością młodych pleców syna. Wtedy napewno winę ponosił rek, źle ustawiony, albo trzeba było tłumaczyć się brakiem wprawy. Śmiechowi Hali wtórował bulgot indorów, które gdzieś w głębi sadu również puszyły się swoją męską siłą.

Nic jednak nie należało robić sobie z opryskliwości papy, skoro nie trudno było domyślić się jej powodu. Dla ojca przyszły teraz dni kłęski, a Franek sycił się triumfami. I dlatego nie starczyło już czasu na przechadzki z Klimą. Zapomniane było jej przyjacielstwo i napewno żadnej wartości nie miała jej życiowa mądrość, zaprawiona smuteczkiem i błogosławiona rezygnacją.

Lepiej było jej unikać, bo może nie rozumiała by, skąd się bierze ta radość, która potrafi się tylko śmiać i wywracać koziołki. Nie, Klima pojęłaby to po swojemu i zaraz oceniła, jako dzieciństwo, płytkość, czy Bóg wie co. Franek wałęsał się więc sam z wyżlicą Norą. Dla tych wycieczek porzucała, bronzowa i lśniaca, swoje szczenięta i z obwisającymi wymionami biegła poprzód w chmurach kurzu. Czasem wpadała w zboże i darła chyzemi łapami ziemię, aby wryć się nosem w gniazda susłów. Franek, nie myśląc o niczem, bawił się poczynaniami wyżlicy, która jeszcze zjeżona, jeszcze sroga od myśliwskich namiętności, przybiegała zpowrotem po to tylko, aby wytrzeć zbrudzony pysk o buty.

Ale teraz zdarzyło się, że Klima wracała pieszo z Jazłowca i spotkali się na granicy pól kalinieckich. Zrobiła mu wymówkę:

— Już ci się znudziłam!

Franka irytowała żebranina jej oczu i jej potulność. Jakby go za coś przeproszała! Mówiła przytem nierozumnie, że napewno nie potrafi mu nadażyć, że wiele rzeczy tak głęboko nie ujmuje. A potem tłumaczyła się z innej winy.

— Myślałam dużo o tem, o czem mówiliśmy na ostatnim spacerze. Wiesz — o Hali, o ojcu. Nie należało wtedy pocieszać, powinnam była wysłuchać ciebie, a nie tak odrazu zatarasować twoje racje wyrozumowanym argumentem.

Franek nie wiedział, co począć z samooskarżeniami Klimy. I dlatego niegrzecznie wyśmiewał się z jej zakurzonych bucików, z kapelusza, z bawełnianej parasolki. Były to niedorzeczne złośliwości, które naprawdę obrażały Klimę, i Franek, zawstydzony, musiał ją przeproszać. Klima nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do strojów, a zresztą — nie miała na to pieniędzy. Zaczęła mu wyliczać, ile zarabia i jakie ma wydatki, że wogóle ledwie to wystarcza, a cóż dopiero na stroje! Była rozżalona i jeszcze bardziej smutniała, mówiąc o tem życiu, które i tak nie wiele warte.

Wtedy Franek zaprotestował.

— Myślisz, Klima, że życie jest naprawdę nie nie warte? To nic nie wiesz, nic nie wiesz! Jest przecież radość, która się rodzi z samego powietrza; niewiadomo, kto ją zasieje i kiedy wschodzi. Jest radość!!

Rżał śmiechem i rozpierał się szeroko, jeszcze laską zakreślając łuki w powietrzu.

Klima myślała wciążyć, że sztydzi z niej.

— Radość — upierała się — to nastrój, chwilowy może... nie wiem. Ale sądzę, że trzeba być mocniejszym od nieszczęścia. I z tem nieszczęściem... jakby ci to powiedzieć? Wyrasta się z niego, jak z sukni. I nawet jeszcze inaczej... zasypia się w niem; wtedy nachodzą inne sny.

Plątała się w określeniach, które jej samej wydawały się głupie i nieszczerze. Zato Franek mówił tak, jak myślał naprawdę:

— Dlaczego nie wierzyć w radość, powodzenie, triumf? Mamy więcej ramion, niż tych dwoje widocznych, trzeba je wszystkie wyciągnąć i zagarniać. Właśnie dla siebie, tylko dla siebie! Wtedy wszystkie sprawy stają się prostsze i wcale niema potrzeby tak wiele rozmyślać, tak się zastanawiać. Dziś, Klima, biorę życie!

Były to dziwne, aż nadto dziwne słowa i Klima przeraziła się ich ukrytego sensu. Odrazu więc zeskoczyła z tych abstrakcyj na twardy grunt i zapytała:

— Jak się tam ułożyły twoje sprawy? Myślę, jak z ojcem, z panną Halą?

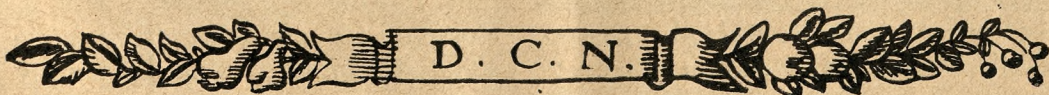
— Dobrze, znakomicie!

W zbożu psykały nudnie koniki polne, a daleki turkot wozów rozdzierał zmięcz szeroki obszarów.

Klima powiedziała:

— Jesteś zawzięty. Czy już nigdy nie powiesz mi nic o sobie?

Niezręcznie balansowali obok siebie na wąskiej ścieżce. Musiał podtrzymywać Klimę, żeby się nie stoczyła z wysokiego nasypu. Szli więc pod rękę, milcząc, zajęci ostrożnym stawianiem nóg. Raz nawet musiał ją Franek otoczyć ramieniem i wtedy pomyślał: Przecież ją lubię, naprawdę lubię, poco się tak sprzeciwiam? — Pochylił się i pocałował ją w policzek. I nagle, niewiadomo dlaczego, przypomniał sobie matkę. Przypomniał ją sobie jakoś inaczej, rzewniej, niż zazwyczaj. Nie odczuwał w tej chwili tego drażniącego niepokoju, tego szarpnięcia się krwi w sercu, które odrazu wzburzało. Poprostu, zatęsknił do matki. A tak się przecież stało, że wcale jej nie odpowiedział na ostatni list. O cóż to rozpytywała i coby jej mógł napisać? O wszystkim, tak, jak jest, jak to teraz czuje?



Z. REUTT-WITKOWSKA

1)

KONFUZJA PANA IGNACEGO

(epizod z „Dużego Toma“)

Pan Ignacy Duchacz — ten sam, który nosił okulary i bardzo czarne faworyty — starszy buchalter cukrowni, jeździł do Kijowa na „kontrakty“, to znaczy, doroczne przetargi zimowe, kiedy przybywało do tego miasta mnóstwo ludzi, ziemian, dyrektorów cukrowni — bo na Podolu i Ukrainie kilkadziesiąt było cukrowni. Ziemianie podpisywali umowy z dyrektorami, że im dostarczą takich buraków, z których wyrabia się cukier.

„Kontraktowano“ też zresztą różne inne towary i plony — ziemniaki, ziarno, i nie tylko, rozumie się, dla cukrowni. Przy tej sposobności — bawiono się. Ziemianie, cukrownicy, kupcy, zjeżdżali z żonami, córkami na wydaniu; zjeżdżała młodzież na wieczory taneczne. Zjeżdżał też teatr, by zabawiać gości przedstawieniami i zarobić trochę grosza.

Otóż pan Ignacy nie wybierał się do Kijowa w celach targu, ale, jako wielki miłośnik owych przedstawień w teatrze. Opowiadał potem dziewczynkom, co widział: widział taką sztukę, gdzie dwaj sąsiedzi kłócą się z sobą o granice swoich dóbr, ale wszystko to kończy się bardzo wesoło, bo syn i córka tych dwu sąsiadów pobrali się i niema się już o co kłócić. Tam występuje taki jemogość we fraczku i kapeluszu rogatym, jak djabeł niemiecki, przygrywa na gitarze i pośpiewuje sobie: „Kot, kot, pani matko, kot, kot! narobił mi w pokoiku loskot!“. A to jest bardzo ładne i zabawne, z pewnością zresztą nie zabawniejsze, niż kiedy śpiewa tak pan Ignacy, puszczając słowa przez nos, bardzo długi i troszkę czerwony, więc podobny do bocianiego dzioba.

Pan Ignacy zażywa tabakę. Tabakierkę ma piękną. Zwierzchu — niby nic, szkatuleczka sobie drewniana; a jak otworzysz, jaśnieje pod wierzchem herb stary Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej: Orzeł biały, Pogoń litewska i archanioł Michał z okrutnym mieczem, herb Rusi, owych wschodnich ziem Rzeczypospolitej, Podola i Ukrainy, wtedy jeszcze bardzo polskich, na złość carowi rosyjskiemu. Darował panu Ignacemu tę tabakierkę pan Romuald, ale kto był pan Romuald, o tem dowiemy się dalej; pan Romuald kupił ją w Krakowie, naówczas jeszcze wolnem mieście, zanim cesarz austriacki nie położył na niem swej kociej łapy. A zrobił to w r. 1846.

Pan Ignacy ma też, oczywiście, chustki do tabaki. Bardzo wielkie chustki do niemałego nosa: trąbi na umór po tabace, ale także gdy opowiada dzieciom co ładnego z dawnych czasów, kiedy nie sam Kraków tylko był wolny. Śpiewa też wtedy: „marsz, marsz, Dąbrowski!“. Bo lubi śpiewać pan Ignacy.

Chustki te są od święta fularowe, różnych kolorów i najróżniejszych deseni. Dziewczynki radeby choć raz jeden widzieć wszystkie chustki pana Ignacego razem: cóż, kiedy co niedziela i co święto pojawiała się tylko jedna. Sterczy filuterny rożek chustki, błękitny, jak chaber, czerwony, jak mak, zielony, jak trawa, fioletowy, jak ornat wielkopostny — z kieszeni sterczy od surduta, barwy cynamonowej.

— Czy to ta sam chustka, co na Trzy Króle? — szeptem Anula do starszej siostrzyczki, Maryni.

— Nie... inna: bo ta ma siwe koła po brzegach... widzisz? a tamta miała rzucik...

Zawsze inna. Ma ich ze sto sztuk pan Ignacy. Kto wie? On sam wie, ale nie powie.

Pan Ignacy lubi zażywać tabakę. I lubi pociągać nalewkę dobrą, domową. Bardzo lubi. Myliłby się, ktoby sądził, że pan Ignacy należał do ludzi nietrzeźwych. Zawsze trzeźwy; ma doskonałą głowę, ale ktoby mu łatkę chciał przypiąć, rzekłby, że pan Ignacy lubi dobrą wódeczkę. Są inni, którzy lubią cukierki. Ale i to i tamto się nie chwali.

Otóż niedzieli pewnej w jadalnym pokoju przysiadł sobie pan Ignacy na starym fotelu z poręczami. Surdut ma na sobie niedzielny, cynamonowy, a z kieszeni figlarnie wyziera chusteczka... jak najszerszy bławatek. W niedzielę, bywa, traktowany jest pan Ignacy Duchacz herbatką poobiednią. A teraz opowiada dziewczynkom o różnych różnościach. Także o panu Romualdzie.

— Bo to, moje panienci, inna rzecz pić herbatę przy uczciwym stole, inna w karczmie żydowskiej. Nie, abym przyganiał ja żydom, żeby zaś wszyscy byli nieuczciwi. Każdy swego Boga chwali, byle Go tylko rzetelnie chwalił. Ale w karczmie od złej przygody bezpieczeństwa żadnego niema. Na ten przykład, jak wydarzyło się z panem Romualdem. Znacnie tę historyjkę?

— O peruce... i o powstaniu? — przypomina Jadwisia.

— Aha! O powstaniu — i o przygodzie pana Romualda w karczmie żydowskiej — poprawi Marynia.

— To nic nie szkodzi, proszę pana Ignacego; trzeba powiedzieć jeszcze — przymila się Anula-wióreczka.

— Jak właśnie o tej czapli, co chodziła po desce? Powiedzieć jeszcze?... Hm. Chodził więc pan Romuald różnemi drogami za życia swego; niejedna była ździebinkę trudna, bo trudne były czasy...

— Cholera była, proszę pana Ignacego — przypomni Jadwisia.

— Tak, była cholera; dużo ludzi poumierało ciężką śmiercią. Ale życie z moskalem... cięższe, niż śmierć. Dlatego wybuchło powstanie. Ludzie zacni, najlepsi sami polacy chowali się po lasach, czatując na wojsko rosyjskie, bo wojska było mnóstwo i broń miało na zawołanie, a powstańców polskich skąpo i kul i prochu nie wiedzieć, skąd było brać, gdy zapas temu-owemu wyjdzie...

— Więc pan Romuald musiał dać znać, że kul brakuje powstańcom!! — zakrzyknie Jula.

Pan Ignacy, doprowadzony tem do najciekawszej części powiastki, zapali się: tabaki zażyje na drogę trudną pana Romualda... sięgnie do kieszeni surduta... cofa rękę. Chustka od święta, paradna. Od przypadku jest druga, w kieszeni przedniej.

Kichnął pięć razy pan Ignacy.

— Ej, żydzie, samowar mi dawaj, rum! Śnieżycę tu przeczekam. — To powiedział pan Romuald do żyda-karczmarza. Sam się zaś po kieszeni maca, czy bezpieczny tam raport do generała powstania, co zwał się pan Edmund Różycki, że broni w lesie wnet

zbraknie i jako się tam ustawili. Jest! Karteczka biała, malusieńka, cienusieńka; cenna, ważna okropnie, zapisana drobnymi znaczkami. — Hm. Świata nie widać przez tę zadymkę. Żeby choć śnieg prędzej ustał, bo godzina każda droga, zaś postój wszelaki niebezpieczny...

Kichnął pan Ignacy trzy razy.

A dobrze bardzo, że nie próbuje sięgnąć do tylnej kieszeni cynamonowego surduta, bo właśnie znikła stamtąd bławatkowa chusteczka.

Gdyby się kto uważnie rozejrzał po słuchaczkach pana Ignacego, zobaczyłby, że chusteczka znikła w cudzej kieszeni: w kieszeni białego fartuszka Anuli.

— ... Wtem przed karczmą rozruch jakiś... konie rżą... broń szczeka... Do pokoiku pana Romualda zajrzy siwa broda starego żydka: „panie — wej — żandarmy!!” i znika żyd poczciwy, jak duch. O, rany Boskie!! zrobiło się panu Romualdowi gorąco. Żandarmi spytają, kto zacz i poco, dokąd jedzie? a potem szukają po wszystkich kieszeniach i odzież prują, i w usta zagląдают, i w uszy... czy gdzie nie siedzi kartka jaka z rozkazem do powstańców czy raportem... Olaboga, rety!!



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

W POSZUKIWANIU SIŁY

(twórczość rzeźbiarska Hanny Nałkowskiej-Bickowej)

Sztuka współczesna jest trawiona gorączką poszukiwania nowych dróg. Z tego wynika jej żywotność, płynność — dodajmy: i bezstyłowość. Może jedna tylko architektura, jako sztuka najbardziej zbliżona do życia, najciaśniej związana z jego wymaganiami, wychodzi zwycięsko z tego wyścigu i, odrzucając balast ornamentu, krystalizuje się w formę geometrycznej bryły. Ale rzeźba i malarstwo błądzą jeszcze ciągle w labiryncie zagadnień formalnych, nie mogąc się zdobyć na pełny wyraz ducha epoki.

Twórczość rzeźbiarska Hanny Nałkowskiej-Bickowej podlega, rzecz prosta, prawom powszechnej tułaczki. Ale od tego, żeby ta wędrówka od zagadnienia do zagadnienia stała się bezkrytyczną pogonią za nowością, broni artystkę z jednej strony wysoka kultura, z drugiej — wrodzona rozwaga, pewien intelektualny raczej, niż instynktowny lub intuicyjny, stosunek do sztuki. Stąd proces rozwojowy jej talentu pozbawiony jest gwałtownych przeskoków, tak często spotykanych u natur pierwotnych,

namiętnych, zdobywczych, nie uznających kompromisu. Jest to spokojna ewolucja, daleka od wszelkiej



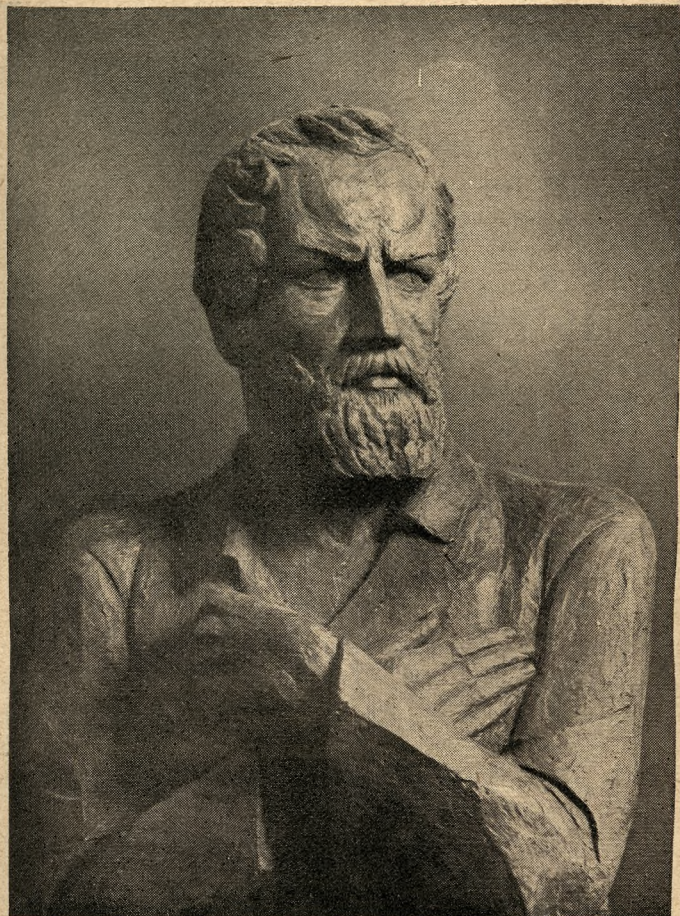
Hanna Nałkowska - Bickowa:
Fragment płaskorzeźby z pomnika Mickiewicza.

krańcowości, praca cywilizacyjna raczej, niż pionierska, nie rozpaczliwy szturm do wrót ziemi obiecanej, ale mozolne karczowanie pni pod nowy zasiew na starej porębie.

Hanna Nałkowska nie zaniedbała niczego, co zrobić należy, aby być nietylko kulturalną artystką, ale i kulturalnym człowiekiem. Duży wpływ musiała tu wyrzucić i atmosfera rodzinna, pewien klimat intelektualny, sprzyjający wzrostowi vegetacji duchowej.

Od lat szkolnych budzące się w Hannie Nałkowskiej skłonności artystyczne nie idą samopas. Wcześniej rozpoczęte lekcje rysunku, dwuletni kurs przy Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej, kursy kompozycyjne Szkoły Słupskich, wreszcie studja w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych pod kierunkiem profesorów malarstwa: Lenca, Trojanowskiego, Tichego, profesorów rzeźby: Dunikowskiego i Wittiga — dały jej zdobycz podwójną: z jednej strony przyswojenie sobie arkanów techniki, tajemnic rzemiosła; z drugiej — możność zbadania siebie, przymierzenia niejako i dopasowania swej indywidualności do pewnego typu artystycznego wypowiedzenia się.

Wybrała rzeźbę i odtąd pozostaje jej wiarna. Jedzie do Włoch, aby studjować pracę w marmurze. A jednocześnie nie porzuca studjów, które pozwalają jej osiągnąć poziom umysłowy, umożliwiając dostateczną orientację w naukach humanistycznych,



Hanna Nałkowska - Bickowa: „Łukasiński“.



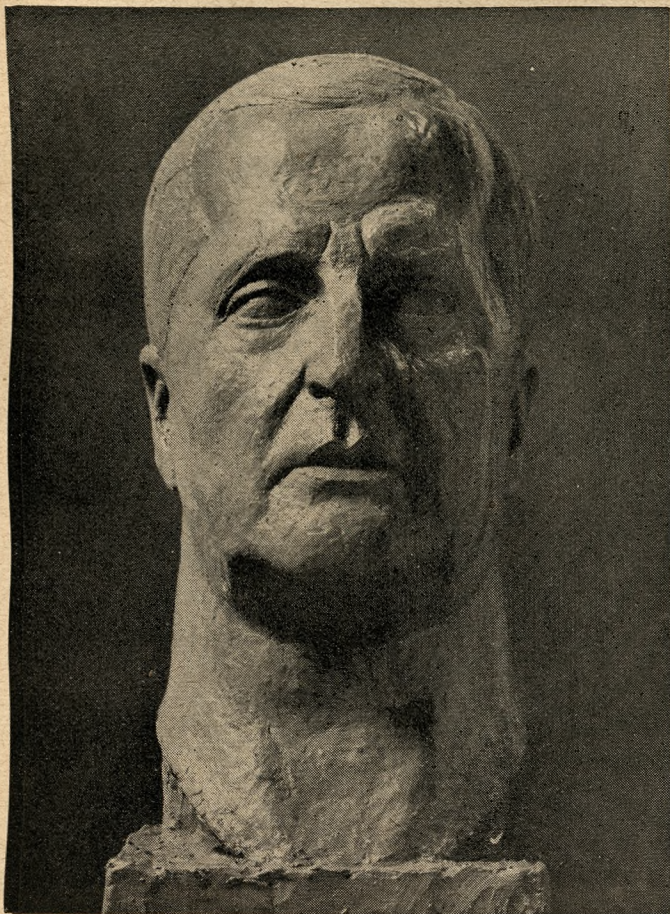
Hanna Nałkowska - Bickowa.

w sprawach, dotyczących się człowieka współczesnego. Na kursach Miłkowskiego słucha wykładów filozofji prof. Tatarkiewicza, architektury prof. Kłosa, ekonomii politycznej i socjologii.

Może prawem dziedziczości w córce uczonego badacza i profesora geografji wczesnie budzi się żyłka pedagogiczna. Jeszcze, jako uczennica szkoły średniej, udziela lekcji rysunków w kompletach. W r. 1918 otwiera kursy rzeźby, koncesjonowane przez Min. Wyznań Rel. i Ośw. Publ.

Pierwszą pracę, p. t. „Helenka“, wystawia w r. 1913 w Zachęcie na Salonie Wiosennym. W r. 1916 jury na konkursie Zachęty „Polonia“ przyznaje jej jednomyślnie pierwszą nagrodę za postać „Rycerza“. Rycerz ten obecnie znajduje się w Sejmie. W „Rycerzu“ uwydatniły się wyraźnie i skrzyżowały dwa prądy, nurtujące współczesną rzeźbę polską, a jednocześnie charakterystyczne dla jej dwu mistrzów: skłonność do monumentalności, właściwa Wittigowi, i poszukiwanie wyrazu, które rozwinęło się w artystce pod wpływem Dunikowskiego.

Ale ponad temi dwoma czynnikami, nabytymi zzewnątrz, unosi się pewien zasadniczy blask, świadczący o ogniach wewnętrznych, płonących w głębinach podświadomości. Artystka jest trawiona pokusą siły i siłę tę stara się wydobyć zrazu środkami



Hanna Nałkowska - Bickowa: „Głowa“.

czysto ekspresyjnymi, skurczem mięśni, ściągnięciem brwi, grą twarzy. Takim jest jej zasepiony „Rycerz“, takim „Łukasiński“, w orleym spojrzeniu i w skrzyżowaniu skutych rąk na piersiach skupiający dynamiczną siłę buntu, świadomość potęgi duchowej, która, nawet ulegając przemocy fizycznej, nie składa przed nią broni. Takim jest jej „Robotnik — szkic do pomnika Okrzei“, ucieleśniony protest, natchnione „nie pozwalam“ i „ani kroku dalej“. W tym kulcie bohaterstwa ujawnia się w całej pełni polskość Hanny Nałkowskiej, jej treść duchowa, organicznie związana z duchem rasy.

U Hanny Nałkowskiej ten głos rasy przemówił dość wcześnie nato, aby mieć czas dojrzeć i skryształizować się w czystej formie artystycznej. Zrazu, choćby w trzech wymienionych powyżej pracach, jest to tylko młodzieńczy poryw, płynący ze źródła poetyckiego raczej, niż plastycznego. „Rycerz“, „Łukasiński“, „Robotnik“ — to raczej historjozoficzny, głęboko przemyślany komentarz do dziejów Polski, niż zadokumentowane jej odrębności środkami nawskroś plastycznymi. To dziedziczne uskrzydlenie, nie obciążenie, literaturą, ten bezwiedny romantyzm mógłby artystkę mniej inteligentną zaprowadzić na niepowrotne bezdroża maniery. Ale Hanna Nałkowska należy do tych organizacyj psychicznych, które

ustawicznie kontrolują swój stosunek do sztuki. Uświadomiła sobie, że idzie po linii najmniejszego oporu i bez chwili wahania zawróciła na drogę znacznie uciążliwszą: wydobywania siły zapomocą konstrukcji, przez logiczne i niezłomne powiązanie płaszczyzn w jednolitą bryłę. „Siła taka jest spokojna, utajona, nie krzyczy i nie nuży“ — mówi o niej artystka. „Nie uznaję wydobywania efektów siły przez nadmierne uwypuklenie kompleksu mięśni, co raczej czyni wrażenie rozděcia formy, aniżeli daje wyraz siły“.

A zatem — bankructwo poprzedniej metody? Nie, raczej jej przewycięzenie. Dążność do spokoju, harmonji, równowagi, symetrii wypowiedziała się w architektonicznym ujęciu dwóch pomników: Mickiewicza i Kraszewskiego. Szczególniej pierwszy tem się różni od niemal wszystkich znanych pomników wieszca, że postać jego nie narzuca się widzowi z wysokości kolumny czy cokołu, ale niejako mieszka we wnętrzu architektonicznej kompozycji, organicznie wtopiona w jej całość. Poezja ustąpiła tu miejsca geometrii, romantyzm został wygnany przez bezwzględne posłuszeństwo prawom linii. Elementem konstrukcyjnym pomnika jest trójkąt, konsekwentnie przeprowadzony w całości i w szczegółach. Przecięcie pomnika wzdłuż osi pionowej jest trójkątem o ściętym wierzchołku, naroża przedłużone tworzą trójkąt, płaskorzeźby na szkarpach ujęte są w ramę trójkąta. Tej surowej symetrii nie zakłóca postać wieszca, umieszczona we wnęce, potraktowana, jako szczegół architektoniczny. Stylizowane płaskorzeźby aniołów podnoszą jeszcze je-



Hanna Nałkowska - Bickowa: „Popiersie generała Orlicz - Dreszera“.

dnolity rytm całości. Ścisłość w przeprowadzaniu linii równoległych (skrzydła i pochylenie głów u aniołów, fałdy płaszcza poety i krawędzie szkarp) — daje wrażenie harmonji, ładu i spokoju, graniczącego z chłodem, nie porywa, ale ziębi, jak każdy zamknięty w sobie kryształ, z którego właściwie nie ma wyjścia.

Pomnik Kraszewskiego był projektowany plein'airowo, z myślą o otoczeniu parkowem, w którym miał być wzniesiony. Na tle zatoczonych półkolem murów fortecznych z blankami, budzących skojarzenia z historycznym charakterem dzieł Kraszewskiego, umieściła artystka postać pisarza w pozie siedzącej, przyczem pewna asymetria schodków i nierówność poziomu kolan wprowadza koncepcję możliwości ruchu w spoczynku, dyskretnie napomknienie o życiu w pozornej martwocie, a zarazem przypomina rytualne niemal upozowanie nóg w siedzących figurach t. zw. „Chrystusa frasobliwego“.

Obydwa te pomniki, bez względu na ich praktyczne zastosowanie, traktować należy, jako etapy w stopniowym dojrzewaniu artystki do jej założeń formalnych. Urzeczywistnieniem ich będzie portret redaktora Filozofowa, p. t. „Głowa“ i świeżo wykonane popiersie generała Orlicz-Dreszera, w którym przeniknęły się wzajemnie i zrównoważyły dwa bodźce twórcze: emocjonalny i intelektualny; pierwszy przez najwyższe napięcie marzenia o sile, drugi — przez osiągnięcie jej wyrazu na drodze ściśle obmyślanej konstrukcji. Głowa generała Dreszera sama przez się, jako regularna bryła, o wyrazie zakrzepłym niejako nazawsze w skamieniałych rysach, twarz człowieka, „który się nie śmieje“, jest idealnym modelem dla nowoczesnego rzeźbiarza. Hanna Nałkowska wydobyła na jaw zarówno jej monumentalność plastyczną, jak tkwiącą w niej treść ideową. Jest to nie tylko portret, ale dokument pewnego historycznego momentu, oglądany przez pryzmat podświadomego wzruszenia, którego zatrzeć nie mogło świadome ustosunkowanie się do tematu.

Hanna Nałkowska wyjechała obecnie na czas dłuższy do Paryża. Bezpośrednie zetknięcie się z artystycznym ogniskiem Zachodu niewątpliwie rozbudzi drzemiące w niej jeszcze potencje twórcze.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Artyści“ — sztuka w 5 aktach G. M. Watters'a i A. Hopkinsa. Przekład Stanisławy Kuszelewskiej. Przeróbka sceniczna Marjana Hemara. Dekoracje St. Słimińskiego. Reżyserja K. Borowski.

Każda epoka ma swoje haszysze, któremi się upaja, odurza, oszałamia i odgradza od własnej rzeczywistości. Takim narządkiem naszych czasów, niezawodnie działającym na masy,



Teatr Polski: „Artyści“. Marja Modzelewska w roli Bonny.

bez względu na ich rozwój intelektualny i kulturę estetyczną, jest kino i teatrzyk rewja. Wielki fresk i minjatura sceniczna, olbrzymia panorama i drobny wycinek życia jednakim urokiem przykuwają zmęczoną wyobraźnię człowieka współczesnego, który w sztuce szuka jednocześnie podniecia i zaspokojenia, niezwykłości w szablonie, improwizacji w powszechnem zmechanizowaniu, oceanu w kropli wody.

Współczesny teatr, w poszukiwaniu widza, coraz bardziej hołduje temu kierunkowi — przykładem „Broadway“.

Powodzenie „Broadway'u“ miało źródła psychologiczne znacznie głębsze, niż się napozór wydaje. Nietylko bowiem w teatrze pod rozmaitym, nieraz tragicznym kątem ustawiają się płaszczyzny dwu rzeczywistości: rzeczywistości sceny i rzeczywistości kulisy. W życiu każdej niemal jednostki widzimy tę dwoistość pracy zawodowej i prywatnych uczuć, czy aspiracyj. Rzadko kiedy, i to u indywidualów wyjątkowo silnych, te dwie rzeczywistości zlewają się w jedno, pokrywają się niejako bez reszty i wtedy wychodzi człowiek z jednej bryły, człowiek prostoliniwny. Najczęściej płyną one obok siebie i niewiadomo, która z nich jest istotną: która jest prawdą życia, a która — prawdą teatru. Każdy z nas przecie ma swoją scenę i swoje kulisy i barwną szminką pozorów kryje to, co jest treścią duszy, jej nierozwiklaną zagadką i tajemnicą.

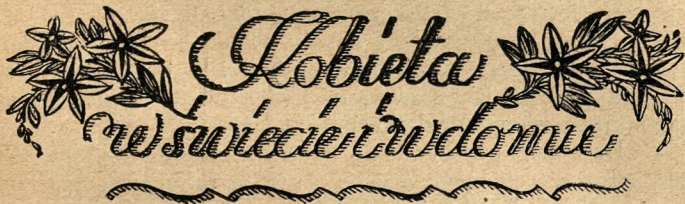
Tę tajemnicę dwoistości naświetla w sposób brutalny i jaskrawy życie ludzi, którzy zawodowo grają komedję. I tu tkwi może klucz powodzenia, jakim cieszą się wszystkie sztuki teatralne i scenariusze filmowe, osnute na losach aktorów. Nietylko pospolita ciekawość i instynkt plotkarstwa wchodzi tu w grę. Poruszone są do głębi podświadome złoża duszy ludzkiej,

szarpnięta czuła nie pokrewieństwa między kabotynem, a człowiekiem czynu; między człowiekiem „na niby”, a człowiekiem „na prawdę”. Bezimienny intruz z widowni, tragiczny nieznaną instynktownie zagłada przez dziurkę od klucza za kulisy teatralne, może w nadziei, że ujrzy tam kulisy własnej duszy, a, zdzierając zasłonę z twarzy aktorskiej, rozwiąże zagadkę własnego „ja”, odnajdzie sam siebie, tak, jak Skid, bohater „Artystów”, odnalazł siebie pod brzemieniem kłęski.

Te uwagi nie mają bynajmniej na celu wmawiania w ostatnią premierę teatru Polskiego jakiejś psychologicznej głębi, od której jest ona tak daleka, jak dalekim jest melodramat od szekspirowskiej tragedji. Zmierzają one tylko do częściowego choćby uzasadnienia bezkrytycznej uczuciowego stosunku publiczności premierowej — a zatem z natury rzeczy raczej chłodnej i wyczekującej — do „Artystów”. Podkreślam: „częściowego uzasadnienia”, bo jednak cały niemal ciężar entuzjazmu, z jakim sztukę przyjęto, spoczywa na barkach wykonawców głównych ról: Jaracza, Modzelewskiej i Dominiaka.

Dzięki nim jeszcze raz zwyciężył paradoks teatralny, zgodnie z którym nawet melodramat, zagrany przez świetnych aktorów, daje więcej rozkoszy estetycznej, niż najpotężniejsza tragedia, sfureszowana przez miernotę. Jaracz nie grał: był żywym człowiekiem. Wielki mistrz ekspresji osiągał nieprawdopodobne wprost rezultaty samym wyrazem twarzy: bladł i czerniał, jak chmura, z której mają paść pioruny. Modzelewska zrezygnowała szczęśliwie z repertuaru rozkosznych do znudzenia miniek i pokazała nam, ile rzetelnej prawdy uczuciowej może dać, kiedy pogłębi rolę, leżącą w naturze jej pięknego talentu. Dominiak osiągnął całkowite powodzenie przez powściągliwość i prostotę, nierozłącznie związaną z typem, jaki odtwarzał. Miłym zjawiskiem na „wielkiej” scenie była ulubienica „Qui pro quo”: Mary Zimińska. Jej piosenka o „złamanem sercu”, była małym arcydziełem symbiozy dwóch, pozornie wyłączających się elementów: liryzmu i groteski. Nie można też zapomnieć ślicznej piosenki „o bzach, kwitnących w Pensylwanji”, w której Modzelewska wyciskała łzy z najbardziej spopielałych serc. Dla zakosztowania słodyczy tych też warto pójść na sztukę, którą w równowadze, niestałej, ale niewątpliwiej — utrzymuje prawda uczucia i fałsz kabotynizmu, płytkość pomysłów autora i głębia interpretacji aktorskiej. Hemar, jako inscenizator, pokazał jeszcze nie lwie, ale już nie kocie pazurki.

S. P. O.



SZKOLNICTWO ŻEŃSKIE NA KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM

Sprawa odrębnego programu dla szkół żeńskich, która swego czasu, t. j. na wiosnę r. b., rozpętała istną burzę dyskusji w naszym świecie pedagogicznym, wypłynęła na forum międzynarodowe na kongresie nauczycielstwa szkół średnich, w którym brali udział przedstawiciele 22 narodowości. Polska oficjalnie była reprezentowana z ramienia T. N. S. W. przez 3 osoby: wiceprezesa Kwiatkowskiego, p. Degen-Ślósarską i p. Z. Jętkiewiczową.

Referentka główna, p. Degen - Ślósarska, wygłosiła referat, znany z walnego zebrania T. N. S. W., uzasadniający konieczność zmiany programu szkół żeńskich drogą zastąpienia

8 godzin matematyki, fizyki i historii przez wykłady psychologii dziecka, pedagogiki, higieny, ekonomji domowej oraz robót ręcznych. Dziewczęta, kończące taką szkołę, miałyby, wedle projektu referentki, otrzymywać matury gimnazjalne.

Przeciw projektowi pani Degen-Ślósarskiej przemawiała w imieniu komisji do spraw szkolnictwa żeńskiego przy T. N. S. W. pani Z. Jętkiewiczowa. Wychodząc z założenia, że większość młodzieży, zarówno żeńskiej, jak męskiej, nie nadaje się do kończenia wyższych studjów i że dla tej młodzieży powinny powstać szkoły o charakterze ogólnokulturalnym i zawodowym, pani Jętkiewiczowa stanowczo żądała zachowania dla elity umysłowej obu płci gimnazjum o pełnym programie, jako jedyne go typu szkoły, dającej prawo wstępu do wyższych uczelni.

Po ożywionej dyskusji nastąpiło głosowanie. Jedną tylko delegacją hiszpańską poparła całkowicie stanowisko pani Degen-Ślósarskiej. Ostatecznie kongres przyjął wniosek opozycji, ułożony przez przedstawicielki: Francji, Czechosłowacji, Jugosławji i Polski w brzmieniu następującem:

„Zważywszy, że wszystkie dzieci, bez różnicy płci, mają prawo do tej miary wykształcenia, na jaką pozwalają im zdolności; zważywszy, że życie współczesne domaga się współdziałania wszystkich władz umysłowych i, że w interesie społeczeństwa leży rozwinąć umysły jednostek do ostatecznych granic ich możliwości; zważywszy, że celem nauczania w szkole średniej jest formalne wykształcenie umysłu i danie ogólnej kultury, a przecież niepodobna utrzymywać, że istnieje odrębne formalne wykształcenie i osobna kultura dla dziewcząt; zważywszy wreszcie, że przystosowywanie się do indywidualnego temperamentu i psychiki ucznia jest zagadnieniem pedagogicznym natury ogólnej, a nie wyłącznie dotyczącem kształcenia dziewcząt — Kongres XI Biura międzynarodowego nauczycielstwa szkół średnich oświadcza, co następuje:

Nauczanie w szkole średniej musi podlegać jednakowym warunkom wstępu dla obu płci, jednakowej selekcji początkowej, mieć jednakowe programy dla wszystkich przedmiotów, które kształcą umysł i dają kulturę ogólną. Powinno ono doprowadzać do wspólnego dla obu płci egzaminu, dawać równe prawa i cenzus naukowy.

Taki układ przewiduje równe przygotowanie naukowe i pedagogiczne dla obu płci, jednakowe egzaminy i stopnie naukowe, jednakowy sposób powoływania na stanowiska i wspólną ustawę zawodową.

To stanowisko zasadnicze, mające na względzie jedynie elitę umysłową obu płci, nie wyłącza możliwości kształcenia dziewcząt w innych szkołach, dających również kulturę ogólną, a jednocześnie przygotowanie, stosownie do uzdolnienia i szczególnych właściwości dziewcząt oraz do ich przyszłych obowiązków rodzinnych i społecznych.

W zakresie kultury ogólnej szkoła średnia musi pomieścić racjonalne, naukowe przygotowanie społeczne. To przygotowanie, obowiązkowe dla obu płci, mogłoby zawierać część programu wspólną, a część różną, odpowiadającą różnym społecznym obowiązkom.

Każda przyszła reforma, mająca na względzie reorganizację szkolnictwa średniego, w celu lepszego przystosowania go do potrzeb umysłowych i socjalnych nowoczesnego życia, winna objąć w jednakowej mierze szkolnictwo dla obu płci“.

NOWOCZESNA MAGDALENA

Śmierć znanej artystki francuskiej, Ewy Lavalière, odbiła się szerokim echem w zagranicznej prasie. Zmarła była zjawiskiem niepowszedniem; zarówno ze względu na swój oryginalny talent o europejskiej sławie, jak i na niezwykle dzieje jej życia. Pseudonim swój zawdzięczała krawatom, wiązanim à la Lavallière, które umiała nosić z niezwykle szykiem. Jest więcej, niż prawdopodobne, iż obierając go, nie znała

wzruszającej historii panny Louise Lavallière, kochanki Króla-Słońca, która przez długie lata oplakiwała krótkie szczęście swej grzesznej miłości za murami klasztoru karmelitanek. A jednak ten obowiązujący pseudonim zaważył na losach artystki.

W pełni powodzenia, u szczytu sławy podlega nieokreślonym tęsknotom, depresjom bez przyczyny. Kiedyś, po triumfalnej premierze bez określonego powodu usiłowała targnąć się na swe życie. Szukając wytchnienia dla skołatanych nerwów, Lavallière postanowiła spędzić letnie wycozasy w zupełnej ciszy i w tym celu wynajęła ładną posiadłość wiejską. Jedyne jej towarzystwem była tam przyjaciółka, Leona, i miejscowy proboszcz. Zaczny ksiądz zapytał kiedyś Lavallière, czemu nigdy nie bywa na mszy. Artystka zaśmiała się cokolwiek nie-szczerze i odparła, że cały tryb jej życia zbyt mało jest zgodny z nakazami religii, aby mogła bywać w kościele.

— I nie boi się pani piekła! — zdziwił się poczciwy pleban.

To naiwne napozór pytanie wstrząsnęło nerwami wrażliwej, jak mimoza, artystki. Po bezsennej nocy zjawiła się we łzach u proboszcza, prosząc o spowiedź. Odtąd wpada Lavallière w ekstazę religijną, którą jej spowiednik zmuszonym jest hamować. Np. straciwszy ząb, ta rozrzutna niegdyś strojnisia nie każe go sobie wstawić w obawie, by nie zgrzeszyć przez próżność. Zrywa z teatrem i dawnymi przyjaciółmi, lecz, żyjąc w świecie, wciąż się obawia ulec jego pokusom i marzy o murach klasztornych.

Niestety, żaden zakon nie chce przyjąć słynnej Lavallière. Nie ufają jej nawróceniu — a nuż to nowy kaprys historycznej aktorki? — Daremnie pisze ta nowoczesna Magdalena wzruszające listy. Daremnie, w klasztornej rozmównicy, błaga na kolanach przełożoną Karmelu o przyjęcie jej do grona sióstr. Zropaczona, rozgoryczona, nawrócona grzesznica zdaje się nie znajdować dla siebie miejsca na ziemi, wszelkie jej poczynania dobroczynne stają się powodem zgorznienia. Wreszcie wyjeżdża do Algieru; tam oddaje cały majątek na założenie świeckiego zakonu kobiet, mającego na celu oświatę i nawrócenie dzikich plemion północnej Afryki. Sama uczestniczy w pierwszej ekspedycji w głąb Afryki, niosąc biednym, ciemnym, poniewieranym kobietom Słowo Boże i elementarne wiadomości o higienie domu i dziecka.

Wraca, trawiona nieuleczalną chorobą: straszliwym, afrykańskim zapaleniem kiszki. Wraca do Francji dumna i szczęśliwa, jak żołnierz, ranny na chwałę ojczyzny. Głęboka wiara w to, iż cierpienie jej zesłane jest od Boga, jako odkupienie grzechów, pozwala nawróconej znosić straszliwe męki bez szemrania. Największą jej pociechą są listy z Afryki, donoszące o pomyślnym rozwoju umiłowanej instytucji. Skromny, maleńki domek w prowincjonalnej mieścinie schronił ostatnie lata słynnej ongi Lavallière, która umarła in odore sanctitatis. Wierna Leona dzieliła z nią wszystkie trudy i niebezpieczeństwa i nie opuściła jej aż do śmierci.

J. K-ska.

NOWOCZESNE PIELEGNIASTWO — JAKO NIEWYZYSKANY TEREN PRACY KOBIECEJ

Praca kobiety na wszystkich polach zyskuje sobie w wieku współczesnym coraz większe zastosowanie i uznanie. Życie obecne, niesłychanie skomplikowane, nasuwa stale nowe zagadnienia, otwiera nowe tereny pracy, a idąc po linii specjalizacji, żąda pracowników nie tylko o dobrych chęciach, inteligencji, ale należycie teoretycznie i praktycznie przygotowanych. Wystarczyło dawniej mieć mature, aby pracować w szkolnictwie, biurowości. Dziś szkoła średnia jest zaledwie wstępem wykształceniem: dopełniona być musi wykształceniem fachowym przez uczelnię wyższą lub zawodową. Stąd też cała rzesza kobiet, którym nie wystarcza życie domowe z perspektywą oczekiwania na założenie własnego ogniska, czy też, którym obowiązki każą szukać niezależności, zarobku dla utrzymania siebie, lub swych bliskich — cała ta rzesza garnie się

do wiedzy, do zdobycia fachowego przygotowania w obranej dziedzinie pracy.

Nowym zawodem, który wysunął w Polsce wiek XX (na Zachodzie zyskał on sobie o wiele dawniej prawo obywatelstwa), jest pielęgniarstwo. Dzieli się ono na szpitalne i społeczne. Terenem pracy pielęgniarstwa szpitalnego są kliniki, szpitale, sanatorja, przytułki. Wszędzie, gdzie jest chory, cierpiący — życie współczesne obok lekarza-specjalisty wymaga pomocy, pracy fachowo przygotowanej pielęgniarki.

Zakres pielęgniarstwa społecznego obejmuje opiekę nad chorym w domu i na bardzo szeroką skalę zakrojoną akcję higieniczno-zapobiegawczą, a więc pracę w zakładach o typie opieki otwartej: przychodniach, ambulatorjach, żłobkach, dziecięcych. I tam również obok lekarza-społecznika, jako dopełnienie jego zadań, konieczna jest współpraca pielęgniarki społecznej.

Pielęgniarka szpitalna, jak i pielęgniarka społeczna, musi być w dzisiejszych warunkach gruntownie zaznajomiona z zasadami teoretycznymi i praktycznymi nowoczesnego pielęgniarstwa, musi posiadać fachową orientację na terenie swej działalności. Pełne przygotowanie do tego zawodu dają nie kilkotygodniowe czy kilkumiesięczne kursy, ale zawodowa szkoła pielęgniarstwa o programie, wzorowanym na szkołach zagranicznych, przystosowanym jednak do polskich potrzeb i polskiego ducha.

Zainteresowanie się pielęgniarstwem szerokich warstw ideowej inteligencji kobiecej wzrasta u nas stale. Odpowiada ono bowiem bardziej, niż jakikolwiek inny zawód, psychice kobiecej, gdyż daje pole do rozwinięcia nie tylko intelektu, ale i serca: w pracy tego zawodu na każdym kroku dawać trzeba bólowi i niedoli ludzkiej pomoc, opiekę i ukojenie. Pozostanie ona bezspornie w rękach kobiety, która w niej z całą swobodą rozwinąć może swą inicjatywę i właściwe duszy swej wartości.

Jednocześnie jednak pielęgniarka zdobywa sobie i materialne podstawy bytu, tem pewniejsze, że nie rywalizują z pracą męską, która na tym terenie nie istnieje. W samym zaś zawodzie, objętym wyłącznie przez kobiety, wciąż jeszcze odczuwa się nie nadmiar, lecz brak sił wyszkolonych. Brak ten, niestety, jest dzisiaj zjawiskiem stałym w stosunku do zapotrzebowań i wymagań współczesnej medycyny klinicznej i społecznej. Rozwój zaś medycyny, bez której dzisiejsze społeczeństwo nie mogłoby istnieć, jest gwarancją trwałej przyszłości nowoczesnego pielęgniarstwa.

Dowodem, jak wielki oddźwięk i zrozumienie w sferach kobiecych znajduje nowoczesne pielęgniarstwo, będące w Polsce stale jeszcze w stadium organizacji i pionierstwa, służyć może rozwój Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa. Powstała w r. 1921 pod kierownictwem amerykanki H. Bridge, w odstąpionym przez Polski Czerwony Krzyż lokalu — obejmując swym programem dwuletni kurs nauk.

Dziś, dzięki zrozumieniu potrzeby pielęgniarstwa w Polsce przez szeroki ogół społeczeństwa, a przy pomocy Rządu i współudziale Fundacji Rockefellera — Szkoła posiada wspaśniały, nowoczesnie urządzone, własny gmach (ul. Koszykowa Nr. 78), położony w pobliżu klinik uniwersyteckich, będących terenem praktyki dla Słuchaczek Szkoły. Kurs nauk, przedłużony do 2 lat i 4 mies., prowadzony jest pod kierunkiem lekarzy-specjalistów i instruktorek-pielęgniarek i daje pełne przygotowanie w zakresie pielęgniarstwa klinicznego i społecznego. Szkoła przyjmuje uczennice dwa razy do roku: na wiosnę i na jesieni.

Niewątpliwie, wnioskując z dotychczasowego rozwoju pielęgniarstwa polskiego, można być pewnym, że zbliżyć się ono będzie do wzorów zagranicznych i w niedalekiej przyszłości zyska sobie u nas uznanie powszechne w stopniu niemiejszym, niż na Zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Wanda Lankajtes.

PIERWSZA KOBIETA MINISTREM PRACY W ANGLJI.

Nietylko w „Wielkim Kramie“ Bernarda Shaw mamy sposobność widzieć kobietę ministra; z powodu wielkiego strajku włókienniczego, który wybuchł w d. 29 lipca w Anglii, dzienniki wszystkich krajów rozniosły po kuli ziemskiej imię miss Margaret Bondfield, pierwszej kobiety na stanowisku ministra pracy w Anglii. Z godnym uznania wysiłkiem starała się zażegnać klęskę strajkową, wskutek której zamknięto 1500 fabryk włókienniczych na ogólną ich liczbę 1800, pozbawiając tem pracy 500.000 robotników. Pół miliona ludzi strajkujących to armja, z którą poważnie liczyć się musi obecny rząd Labour Party, to też akcja miss Bondfield nad załagodzeniem konfliktu, choć na razie nie uwieńczona pomyślnym skutkiem, wzbudza ogólne zainteresowanie. Miss Bondfield liczy obecnie lat 56 i ma za sobą bogatą przeszłość organizacyjną. Młodziutka dziewczyna jako pracowniczka w sklepie po raz pierwszy staje oko w oko z grozą bezrobocia. I wówczas świta w jej głowie myśl, że jedyną ostoją robotnika może być organizacja. Z tą myślą, mając lat dwadzieścia, jedzie do Londynu, z trudem znajduje miejsce w jakimś sklepie i całą duszą oddaje się pracy nad organizowaniem ruchu związkowego. Ciekawą jest rzeczą, że nie brała zupełnie udziału w bojowych wystąpieniach sufrażystek, gdyż nie uznawała prawa głosowania za zdobyczą decydującą w walce kobiet o równouprawnienie. Cała jej działalność uczyniła ją jednak pionierką emancypacji kobiet. Była pierwszą delegatką na kongresie związków zawodowych, pierwszą kobietą wybraną do komitetu wykonawczego Tradeunionów. Jest pierwszą kobietą zamianowaną członkiem rządu brytyjskiego (była podsekretarzem stanu w pierwszym rządzie Mac Donalda), jest członkiem Rady Królewskiej z tytułem „Right Honorable“, przyznany jej dożywotnio. To wyjątkowe uznanie sfer rządzących w Anglii dla społecznej i politycznej działalności kobiety, jest rzeczą wprost niezwykłą i świadczy o niezwykłych zasługach miss Bondfield na tem polu. Jej karjera parlamentarna datuje się od r. 1925, w którym to roku również wchodzi do rządu Mac Donalda. W następnym roku ponosi parlamentarną porażkę, aby w 1926 r. po uzupełniających wyborach zasiąść znów w izbie gmin.

KONGRES WYCHOWANIA RODZINNEGO w r. 1930.

Zawiązana w r. 1889 w Belgii międzynarodowa liga wychowania rodzinnego urządziła przed wojną trzy kongresy: I w Liège w r. 1905, przy udziale 2000 uczestników i 200 zgłoszonych referatów, II — w r. 1906 w Medjolanie; III — w r. 1910 w Brukseli zgromadził już 3000 delegatów, reprezentujących 44 narody, referatów zgłoszono 400. Wojna spowodowała przerwę aż do 1922 r., kiedy na obradach obecna już była delegacja polska.

Obecnie stała komisja międzynarodowa dla spraw wychowania rodzinnego, z siedzibą w Liège, zwołuje na r. 1930 do Belgii kongres międzynarodowy wychowania rodzinnego, który będzie przedewszystkiem „kongresem metod“, rozpatrującym wnioski praktyczne, wyprowadzone z ustalonych zasad wychowania i ideałów kształcenia moralnego.

Obrady mają być prowadzone w 5 sekcjach.

W I-iej zreferowane zostaną przez specjalistów lekarzy i psychologów najnowsze badania nad dziećmi anormalnymi, w związku z praktycznym ich zastosowaniem. Rozpatrywane będą zagadnienia, w jaki sposób teoria Mandla daje się zastosować do dziedziczności umysłowej; jakie typy charakterów moralnych są dziedziczne; jakie dadzą się ze sobą zharmonizować, jakie — nie. (Cenne wskazania z dziedziny eugeniki dla młodzieży, pragnącej wstąpić w związki małżeńskie). Wyjaśnienie, w jakich wypadkach wskazane jest wychowanie dziecka

anormalnego w rodzinie, kiedy — w zakładach specjalnych

Sekcja II zajmie się sprawą obrony rodziny i wychowania religijnego, w sensie wypracowania metod, najskuteczniej wpajających dzieciom przyzwyczajenia, zgodne z przykazaniami.

Organizatorzy kongresu w programie wzywają psychologów i znawców naukowej organizacji pracy, aby ze zechcenia podzielić się swymi zdobyczami, mającymi na celu osiągnięcie przez młodzież największej wydajności pracy.

Sekcja III omawiać będzie środki, jakimi uzyskać można podmieszenie uczuć rodzinnych i społecznych, zwłaszcza u mężczyzn. Chodzi o oddziaływanie przez wpływy rodziny, szkoły, prac społecznych i Kościoła.

Sekcja IV zajmie się zagadnieniem, jak nadać nauczaniu we wszystkich rodzajach szkolnictwa kierunek, przygotowujący młodzież do pracy wychowawczej, bez zmiany w istniejących programach nauki szkolnej, a jedynie przez ustalenie pewnych orientacyj praktycznych

Program kongresu podkreśla konieczność stworzenia katedr uniwersyteckich pedagogiki rodzinnej. Poza tem w sekcji tej rozpatrywana będzie sprawa tolerancji, metody, jakimi od dzieciństwa wpajać należy człowiekowi „poszanowanie cudzych przekonań“.

Sekcja V rozważać będzie środki popularyzacji wychowania rodzinnego przez organizacje społeczne.

W celu zapewnienia należytego rozwoju studjów, wydawnictw i działalności, zmierzających do postępu wychowania rodzinnego, Liga postanowiła stworzyć Instytut międzynarodowy pedagogiki rodzinnej, obejmujący bibliotekę, muzeum, pracownię, sekretariat i zespół wykładowy. Instytut powstaje z funduszu, dostarczanego przez jednego z filantropów belgijskich. Na Kongresie ma być przeprowadzona propaganda w celu zdobycia ofiarodawców z pośród innych narodowości. Szczegółowy program Kongresu wysłała na żądanie „Komisja polska dla spraw wychowania rodzinnego“ (Warszawa — ul. Profesorska 4, willa Gródek), wzywając osoby i instytucje, interesujące się sprawami wychowania rodzinnego, o zgłaszanie referatów ściśle związanych z zagadnieniami, które będą przedmiotem prac Kongresu.

NAUKA OBYWATELSTWA.

Każdy obywatel Rzeczypospolitej musi znać nietylko swoje prawa, ale i swoje obowiązki wobec państwa. Tę zasadę wprowadziło w życie krakowskie koło Stowarzyszenia „Służba obywatelska“ z pomocą Ministerstwa W. R. i O. P., stosując od r. 1925 „naukę obywatelstwa“ w żeńskim szkolnictwie zawodowym. Celem przygotowania odpowiednich sił pedagogicznych, został w r. 1926 zorganizowany w Krakowie całomiesięczny kurs dla nauczycieli żeńskich szkół zawodowych, a w r. 1928 dwutygodniowy kurs „Etyki obywatelskiej“ pod kierunkiem dr. Dobrzyńskiej - Rybickiej. Wobec braku podręczników w tej dziedzinie zanotować należy książkę dr. Dobrzyńskiej - Rybickiej p. t. „Nauka obywatelstwa na podstawie socjologii“. Poza tem nakładem Wileńskiego Koła „Służby Obywatelskiej“ ukazały się dodatkowo wypisy p. n. „Służba społeczna“.

Naukę obywatelstwa zastosowano z doskonałymi wynikami w szkołach zawodowych żeńskich w Warszawie, Lwowie, Wilnie, Poznaniu, Gnieźnie, Inowrocławiu, Grudziądzu, Żółkwi, Świecianach. Powstały wśród uczennic stowarzyszenia, szerzące kulturę społeczną i obywatelską. Najważniejszą obecnie zdobyczą w tej dziedzinie byłoby utworzenie przy jednym z uniwersytetów katedry „nauki obywatelstwa“, opartej na podstawach naukowych etyki i socjologii, i umożliwiającej nauczycielstwu pogłębienie studjów, traktowanych dorywczo na kursach wakacyjnych.

SZKOŁA GOSPODARCZA W DZIAŁDOWIE

Odległe od Mławy o dwadzieścia dwa kilometry. Działdowo — to „kresowe” miasteczko — słusznie zupełnie cieszy się opieką władz, w szczególności zaś w dziedzinie oświatowej. Przy pięciu tysiącach mieszkańców posiada to piękne, czyste miasteczko mazurskie, prócz szkoły wydziałowej, państwowe seminarjum nauczycielskie męskie (do niedawna jeszcze koedukacyjne), uniwersytet powszechny, kursy rolniczo-gospodarcze żeńskie, bursę rzemieślniczą dla chłopców-sybiraków, otwartą w roku ubiegłym szkołę męską ślusarsko-kowalsko-kołodziejską, kursy dla podoficerów oraz żołnierzy-analfabetów; projektowane są poza tem szkoły rolnicze tuż pod samem miastem. Szkolnictwo ożywia miasto — i chwala Bogu! Boć przecie oczy mazurów, pozostających poza kordonem, w Prusach Wschodnich, związanych węzłami krwi i przyjaźni z licznymi rodzinami mazurskimi, storopolskimi — w powiecie działdowskim — zwrócone są na Działdowo...

Kursy rolniczo-gospodarcze żeńskie powstały przed dwoma laty. Założenie ich wywołała potrzeba — dziewczęta z powiatu działdowskiego w dużej liczbie wyjeżdżały do szkół gospodarczych wschodnio-pruskich i tam ulegały prądowi antypolskiemu. Pierwszy kurs próbny, trzymiesięczny, rozpoczął się w styczniu 1926 roku. Wykorzystano kuchnie angielskie oraz niektóre pozostałości po dawnej, utrzymywanej przez Niemców w ogólnym budynku szkolnym — t. zw. „Wirtschaftsschule”.

Na pierwszy kurs zapisało się tak dużo uczennic, że trzeba było utworzyć dwa komplety.

Kursy w Działdowie, utrzymywane przez Ministerstwo Rolnictwa, popierane przez Pomorską Izbę Rolniczą, stanowią uczelnię nieco odrębną. Przy stosowano naukę do wymagań miejscowych, zgodnie ze skróconym programem 11 miesięcznych szkół rolniczych. Głównym celem placówki tej jest wychowanie dziewcząt, wyrosłych jeszcze pod zaborem i wpływem pruskim, na

obywatelki polskie, wpojenie w nie ducha polskiego, przygotowanie do życia praktycznego, przyzwyczajenie do estetyki.

Najbardziej pociąga dziewczęta nauka gotowania, robót ręcznych i szycia. Stopniowo budzi się zainteresowanie innymi przedmiotami. Należy wziąć pod uwagę, że pewien procent uczennic nie zna polskiego alfabetu — a są to dziewczęta, które ukończyły wiejskie szkoły niemieckie. To też nauka polskiego języka nastęrcza często wiele trudności. Język nie tylko młodych mazurek, ale i pomorzanek, jest skażony licznymi germanizmami.

Większość dziewcząt przybywa na kurs pieszo lub na „kole” z pobliskich wiosek. Wobec tego stworzenie internatu nie jest konieczne. Nauka jest bezpłatna, kursistki pokrywają jedynie koszt spożytego obiadu.

Urządzona pod koniec roku ubiegłego wystawa prac, oraz wycieczka do Warszawy i dalej, budzi wielkie zainteresowanie i jest doskonałym środkiem propagandowym. Nauka trwa od połowy października do czerwca, z dodatkowym kursem przetworów owocowych. W czerwcu roku ubiegłego zorganizowana została wycieczka do Lwowa, Krakowa, Częstochowy, przyczem zwiedzano szkoły gospodarcze; chodzi o to, ażeby obywatelki z pod dawnego zaboru pruskiego poznały piękno i bogactwo innych dzielnic Polski. W roku bieżącym uczennice zwiedziły wystawę drobiu w Toruniu, oraz Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu.

Do Działdowa przylega rozparcelowana świeżo domena Malinowo. Ośrodek przyznany został szkole gospodarczej żeńskiej. Kosztem Ministerstwa Rolnictwa przekształcony zostanie na szkołę dwór i zabudowania gospodarcze. Roboty już rozpoczęto. Niebawem, po dokonaniu rozbiórki oficyn, po-

żony zostanie uroczyście kamień węgielny pod budowę.

Uczelnia ta promieniować będzie za kordon, a niejedna warmiaczka czy mazurka czerpać zechce światło nauki polskiej w Działdowie.

W Malinowie założona zostanie na wielką skalę hodowla drobiu, co będzie miało niemałe znaczenie.

Jest nadzieja, że kursy w mieście istnieć nie przestaną, wśród miej-



Działdowo. Uczennice kursów rol. - gosp. na wystawie swych prac.



Dziąldowo (Pomorze).

Budynek szkolny, w którym mieszczą się między innymi kursy rolniczo - gospodarcze żeńskie.

scowych chłopów i mieszczan nie wyrobiło się jeszcze poczucie potrzeby wysyłania dziewcząt na rok poza dom. Córki uważane są w domu za siłę roboczą, bez której obejść się trudno. Kursistka dziąldowska, nosząca z dumą granatową czapkę z czerwonymi inicjałami, powróciwszy po piątej po południu do domu, musi pomóc matce, siostrze czy ciotce w jej codziennej pracy.

Tak więc szkoła skupiać będzie dziewczęta z dalszych stron, kursy zaspokoją potrzeby lokalne.

Oby nadal nie brakło przy pracy nad młodzieżą ludzi, którzyby z takim zrozumieniem doniosłości placówki pracować chcieli, jak dotąd.

Emilja Sukertowa.

UPRAWA TRUSKAWEK

2. ODMIANY I HODOWLA

Odmian truskawek mamy b. dużo. Większość ich jednak nadaje się tylko do hodowli amatorskiej, bo chociaż są nieraz smaczne, ale zbyt drobne, albo mało plenne, albo b. łatwo się wyradzają.



Fig. 2. Laxton's Noble.

Do produkcji handlowej wybierać należy odmiany plenne o ładnie dojrzewających, dużych owocach. Najwięcej hodowane odmiany u nas w kraju są następujące:

Laxton's Noble (Fig. 2) — odmiana ta przy starannej hodowli ma owoce duże, na dobrze użyźnionej ziemi nawet b. duże, kuliste, ładnej, żywej, czerwonej barwy. Miąższ różowy, słodki, aromatyczny o przyjemnym, delikatnym kwasku. Krzaki nadzwyczaj płodne, niewielkie, nietrwale, trzeba je zatem sadzić nieco gęściej.

Sadzone w lecie, owocują w następnym roku obficie, dając już ładne, dorodne owoce. Jest to odmiana, zasługująca na rozpowszechnienie, zwłaszcza, że należy to wcześniejszych.

Sharpless (Fig. 3) — stara ta odmiana ma owoc wielki, czasem b. wielki, stożkowaty, bruzdkowany, jasno czerwony, co do smaku — średniej jakości; dojrzewa o tydzień później od odmiany poprzedniej. Jest to truskawka średniej pory.

Krzaki ma b. wielkie, silne i trwałe. Sadzić je więc należy rzadziej, niż odmianę poprzednią. Doskonała odmiana handlowa.



Fig. 3. Sharpless.

Madame Moutot (Fig. 4) — odmiana płodna, silnie rosnąca, o olbrzymich owocach, trochę spłaszczonych, koloru ciemno czerwonego, o przyjemnym smaku i zapachu. Jest to odmiana wybitnie handlowa, gdyż owoce doskonale znoszą transport.

Jucunda (Fig. 5) — roślina silnie rosnąca, płodna, owoc dość duży, ładnego czerwonego koloru. Miąższ czerwony, ścisły, aromatyczny i dość słodki. Dojrzewa względnie późno. Ładny owoc, znoszący dobrze transport, czyni tę odmianę jedną z pierwszych, jako odmianę handlową.

Ananasowa biała (White pine apple) — owoc kulisty, biało-różowy, średniej wielkości, wyborny za-



Fig. 4. Madame Moutot.

równy do jedzenia na surowo, jak i na przetwory. Płodność średnia, tak samo, jak siła krzaków. Truskawka średniej pory. Jako handlowa, mało korzystna, ale zato doskonała amatorska odmiana, gdyż należy do najlepszych w smaku truskawek.

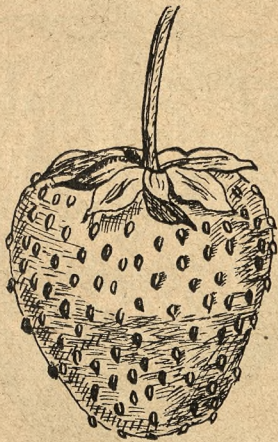


Fig. 5. Jucunda.

Sadzimy ją w średnich odległościach.

Na zakończenie niniejszego artykułu chciałabym dodać parę słów o pędzeniu truskawek w inspektach. Pędzenie takie jest niekosztowne, mało kłopotliwe, a miło jest mieć owoce znacznie wcześniej, niż normalnie w gruncie.

W tym celu do zimnego lub głuchego inspektu (głuchym inspektem nazywamy skrzynię, postawioną wprost na przekopanej ziemi. Dosypujemy część ziemi inspektowej), sadzimy jak można najwcześniej silną, dobrze zakorzoną rozsądę truskawek, w odległości 20—25 cm. we wszystkich kierunkach.

Na okno inspektowe wypadnie 30 krzaków, jeżeli posadzimy 20 cm. × 20 cm., albo 20 krzaków —

przy sadzeniu 25 cm. × 25 cm., albo wreszcie 25 krzaków — przy sadzeniu 20 cm. × 25 cm.

Do posadzenia należy podlać dokładnie i zacienić okna. Dobrze byłoby zasilić ziemię rozrzedzoną gnojówką, lub nawozami sztucznymi, dając następujące porcje na 1 okno inspektowe: 1 kieliszek od jaj — saletry, 2 kieliszki od jaj — superfosfatu, 2 kieliszki od jaj — soli potasowej.

Na jesieni na noc założyć okna.

Im silniej zakorzeni się rozsada, tem obficie na rok przyszły będzie owocowała.

Na zimę nakrywamy skrzynię deskami, a potem nawozem, słomą lub łęciami, by ziemia w nich nie zamarzła. Boki obkładamy starym nawozem lub liśćmi.

Na wiosnę, gdy słońce zaczyna dogrzewać, w marcu, lub nawet w końcu lutego, zdejmujemy przykrycie, oczyszczamy truskawki, poruszamy ziemię i nakrywamy oknami. Ziemię zasilamy przed poruszeniem nawozami sztucznymi w wyżej wskazanym stosunku.

Dalsza hodowla polegać będzie na wietrzeniu i podlewaniu w miarę potrzeby, a także nakrywaniu na noc okien matami.

Gdy pokażą się kwiaty, radziłabym małym, miękkim pędzelkiem zapylić kwiaty, delikatnie muskając nim po kwiatkach. Zabieg ten wpływa na lepsze owocowanie, gdyż małe ilości owadów niedostatecznie mogą ten proces wykonać.

Hodowane w ten sposób truskawki pod oknami dadzą owoce o parę tygodni wcześniej, niż gruntowe.

Po raz drugi roślin tych jednak do pędzenia używać nie warto, gdyż nie dałyby odpowiednich rezultatów.

Z odmian do pędzenia nadają się „Laxton's Noble” i „Jucunda”.

Zofja Wróblewska.



O ODŻYWIANIU NA P.W.K.

Już kilkanaście moich czytelniczek zwracało się do mnie listownie i telefonicznie z zapytaniem, czy to prawda, że pobyt na Wystawie w Poznaniu jest bardzo kosztowny — bo im tacy a tacy znajomi o tem niebawem rzeczy naopowiadali.

Karygodnym jest odstraszenie ludzi od zwiedzania Wystawy, tem bardziej karygodnym, że wszelkie baśnie o niepomiernej drożyznie w Poznaniu rozmijają się z prawdą. Przejazd z najbardziej nawet odległych dzielnic Rzeczypospolitej jest tak

ulatwiony, tak wszystkim dostępny, że najbiedniejsi nawet, żądni wiedzy obywatele polscy na ten wydatek sobie pozwolić mogą. Kwestja mieszkaniowa jest rozstrzygnięta doskonale. Biuro kwaterunkowe na dworcu głównym funkcjonuje wysmienicie. Już nie mówiąc o licznych hotelach, obliczonych głównie na cudzoziemców, Poznań rozporządza kilkudziesięciu tysiącami pokoi prywatnych w cenie od dwunastu do szesnastu złotych za jedno lub dwuosobowy pokój pierwszej klasy, a od 6-ciu do 8-miu złotych, za takież pokój czwartej klasy. I to już ze światłem, pościelą i usługą. Wszędzie jest czysto i gospodarze są uprzejmi. Pewna nadprodukcja lokali wywołuje zbawienną emulację na korzyść wystawowych gości.

Najgorzej przedstawia się sprawa odżywiania. W samym mieście ceny produktów: mięsa, wędlin, nabiału i t. p. uległy pewnej wyższości; jednak nie wpłynęło to prawie wcale na ceny potraw w restauracjach i kawiarniach, tu już tylko wspomnę o ukochanym przez sfery ziemiańskie „Bazarze” — gdzie obiad z czterech dań kosztuje pięć złotych, lub o najbardziej uczęszczanej kawiarni Dobskiego, gdzie za ogromną porcję lodów (i to wybornych) płaci się jeden złoty czterdzieści groszy, z napiwkiem kelnera włącznie. Odpowiednio przystępne są ceny w innych równorzędnych lub skromniejszych jadłodajniach. I wszędzie ta staranna, uprzejma, a umiejętna obsługa gościa, od której w stolicy, o ile nie przychodzimy konsumować dużych ilości alkoholu i drogich przekąsek — już odwykliśmy. Tak jest w mieście.

Znacznie gorzej sprawa odżywiania przedstawia się na Wystawie. A jednak wysoka cena biletów zmusza do nieopuszczania terenów wystawowych przez dzień cały. Wprawdzie komitet wystawowy włożył dużo pracy w zaspokojenie potrzeb szerokich mas, zwiedzających Wystawę, jednak jedzenie na terenach jest albo drogie, lub też bardzo liche.

Że pomyślano o potrzebach wszelkich sfer gości, dowodem tego była olbrzymia kantyna na placu wystawy hodowlanej, gdzie liczni fornale i dziewczęta, przybyli wraz ze swojemi stajniami i oborami, znajdowali obfite, do ich gustów i przyzwyczajęń przystosowane, pożywienie. Liczne wycieczki szkolne mają tanie obiady w suterynie dworu Huggera — tanie — lecz tak niesmaczne, że dziewczęta jednej z warszawskich szkół powszechnych, doprawdy, nie przyzwyczajone do zbytku, skarżyły się, że obiady te były prawie niejadalne. Duże, pierwszorzędne restauracje mają też unormowane ceny dań najbardziej rozpowszechnionych. Więc sztuka mięsa, rozbratel, kotlet wieprzowy, sznycel i t. p. mają naznaczone ceny. Ale (zawsze to „ale“!) zaraz po pierwszej wszystkie te potrawy są już wykreślone z jadłospisu, a pozostaje drób i zwierzyna — ogromnie drogie i w dozach mikroskopijnych, a kotlet wieprzowy — rzecz, której w Poznaniu nigdy zbraknąć nie może —

nazywa się „wieprzowym medaljonem“ i od razu o złoty lub półtora od zwykłego kotleta drożej kosztuje.

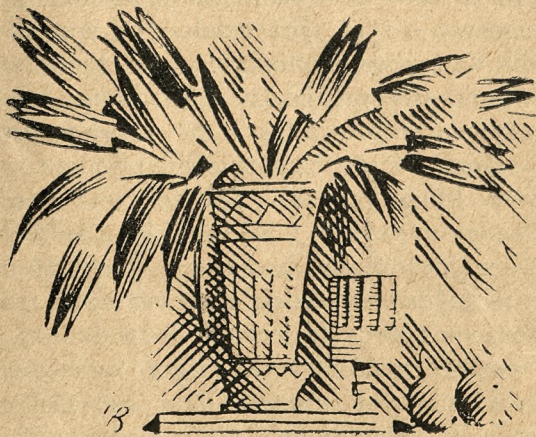
Na terenach zachodnich jest nieco lepiej: tam i w dużych restauracjach można nawet o trzeciej znaleźć befsztyk lub sznycel po cenie urzędowej. Skromne, lecz czyste i zdrowe obiady wydają panie Kresowe w kawiarni około pawilonu Ziemianek. Nie dają wprawdzie obiadów ani dań gorących Kuźniczanki na dachu Pawilonu Pracy Kobiet, jednak można u nich znaleźć zawsze dania z mleka i jaj, które przy upałach letnich za obiad starczyć mogą.

Po całej Wystawie rozsiane są piwiarnie z gorącymi potrawami, gdzie jednak konsumcja piwa obowiązuje, co nie dla każdego jest pożądane. Kioski z wybornymi, poznańskimi parówkami i kielbasą, z pieczywem po cenie piekarnianej, z piwem, mlekiem, gorącymi pasztecikami, apetycznymi, orzeźwiającymi galaretkami, lodami w czekoladzie i t. p. spotykamy na każdym kroku — co daje możność zaspokojenia raptownego głodu.

Osobom, liczącym się z groszem, proponowałabym następujący system odżywiania się. Rano — pierwsze śniadanie w domu (ceny normowane i podawanie takich śniadań obowiązujące). Drugie śniadanie na Wystawie w którejkolwiek z lepszych kawiarni. O czwartej podwieczorek z parówek z pieczywem i piwem w jednym z kiosków renomowanych firm wędliniarskich. O siódmej, gdy pawilony się zamkną, dobra kolacja po uczciwej cenie w jakiejkolwiek jadłodajni na mieście. Będzie to najbardziej oszczędny i najbardziej racjonalny sposób odżywiania się.

Naturalnie, nie mówię tutaj o „Wesołem Miasteczku“ z jego atrakcjami, jako o instytucji rozrywkowej — zresztą mało co nowego dającej — gdzie wydatki osób, chcących się bawić, mogą dojść do zupełnie fantastycznych cyfr. My nie umiemy bawić się wesoło i tanio, tak, jak wiedeńczyk na swoim Praterze.

Pani Elżbieta



ZBIERAJMY NASIONA Z NASZYCH MORW

Po niezwykle surowej zimie minionej, z mrozami, które dochodziły do 40 stopni C. i więcej, obserwować można, między innymi, uszkodzenia również starych drzew morwowych, a gdzieś tam nawet zupełne ich wymarzenie.

W drzewostanie tym, w poszczególnych jego ośrodkach, zachowało się jednak sporo morw, na których śladów tegorocznej zimy nie widać, lub o ile są jakieś uszkodzenia, to tak nieznaczne, że na stan zdrowotności drzewa nie wpłyną wiele. Okazy wymienione, albo należą do pewnych odmian morw, więcej odpornych na wpływy fizyczne naszego klimatu, albo zostały obdarzone wprost większą wytrzymałością, aczkolwiek trudno je w znaczeniu morfologicznym zaliczyć do jakichkolwiek z dotychczas znanych, odmian morwy białej. Z objawami takimi, zresztą, spotykamy się i u innych roślin egzotycznych; są one jak gdyby pierwszym etapem na drodze do aklimatyzacji.

Więcej wrażliwe morwy, u których obserwować można przemarznięcie gałązek jedno, dwu i kilkuletnich, zdają się przychodzić do dawnej formy i po latach kilku korony ich powinny wyglądać nie gorzej, jak przed tegoroczną zimą.

Należałoby się jednak nieco zastanowić, czy mamy przejść do porządku nad temi zjawiskami, czy też wybrać inną drogę, nieco mozolniejszą i kosztowniejszą, lecz prowadzącą do oparcia jedwabnictwa na zdrowszych podstawach.

Niemożność krzyżowania się morw o cechach na nasze warunki klimatyczne odpornych, z osobnikami mniej odpornymi, którym przemarzły jedno, dwu lub wieloletnie pędy, stwarza warunki do otrzymania w roku bieżącym dobrego nasienia tych drzew. Prowadzi to do wyhodowania większego odsetka morw o cechach zbliżonych lub podobnych do rodzicielskich, a więc takich, którym nawet tak surowa zima, jak tegoroczna, niewieleby zaszkodziła. Z nasion tych mielibyśmy również wyśmienite podkładki pod mnożenie morwy o typie już ustalonym, specjalnie cennym dla wyżej wspomnianych zalet, mnożenie drogą oczkowania, szczepienia czy odkładów, a więc drogą wegetatywną, co prowadzi do rozwiązania sprawy ciągłości zbioru liści, niezależnie od takich czy innych wpływów klimatycznych. Jest to rzecz kardynalna, o ile chcemy naprawdę mieć korzyści z jedwabnictwa, bo stwarzająca realne podstawy pod gospodarczą stronę niejednego przedsiębiorstwa, jak np. stacje produkujące grenę (jajeczka jedwabnika), stacje, które zwykły mieć stałych odbiorców pewnej ilości mozolnie zdobytych jajeczek, o co przy nawrotach takich mrozów, jak minionej zimy, będzie zbyt trudno.

Stwarzanie więc zdrowych podstaw pod jedwabnictwo krajowe prowadzi poprzez racjonalne rozwiązanie sprawy mnożenia morwy. Nie od zagranicznego sprowadzania nasienia morwy, a co gorsze samych drzewek, lecz od zbierania nasion z morw własnych i mnożenia specjalnie cennych egzemplarzy czy odmian, odpornych na przymarzenie, rozpoczynając winniśmy całą akcję. I chociaż w tym roku nasion morwy nie będzie wiele, to jednak należałoby je skrzętnie zbierać, gdyż specjalnie dla celów hodowlanych jedwabnika, w naszych warunkach klimatycznych, dość surowych, nadawać się będą.

Otrzymywanie nasienia należy do rzeczy bardzo łatwych, szczególnie w sposób następujący.

Zbierając zupełnie dojrzałe owoce (najlepiej, gdy same opadną z drzewa) dobrze jest przedtem przekopać ziemię i równo ugrabić w obrębie korony, gdyż pozwoli to na większy zbiór owoców, a co za tem idzie, nasienia, które ginie wśród trawy lub chwastów, o ile nie rozścielemy pod drzewem płacht; należy pozostawić nasiona w jakimś naczyniu, np. wiadrze lub cebrze, na przeciąg 3 — 4 dni, ażeby mogły lepiej rozmięknąć, a następnie, po dodaniu drobnoziarnistego, przemytego piasku, dobrze je rozcierać ręcznie. Po tej czynności — przepłókiwaniu w wodzie — oddzielamy nasiona od niepotrzebnych domieszek i zanieczyszczeń, jak np. części mięksizowych, a następnie suszymy w miejscu ocienionem i możliwie przewiewnem. Nie należy suszyć nasion na słońcu, jak również nad piecem i t. p., gdyż w ten sposób łatwo pozbawiamy je siły kiełkowania.

Do czasu sprzedaży lub wiosennego wysiewu, wysuszone nasiona powinno się przechowywać w miejscu niezbyt suchym, najlepiej w woreczkach z rzadkiego płótna.

Bez względu na ilość nasion i na to, czy pochodzą one z białych, czy różowych owoców (wszystkie one należą przeważnie do gatunku morwy białej, jaką przed kilkudziesięciu laty wysiano w Polsce) płaci po zł. 20 za kg. Instruktorjat Jedwabniczy Centralnego Towarzystwa Organizacji Kółek Rolniczych (Warszawa, — Kopernika 30), dokąd też prosimy kierować wszelkie zapytania zainteresowanych zbiorem i zbywaniem nasion.

Te ostatnie należy nadsyłać dobrze opakowane, podając przytem nazwisko właściciela drzew morwowych, miejscowość, ilość drzew, jaką się rozporządza oraz uwagi o uszkodzeniach, spowodowanych w tym drzewostanie przez tegoroczną zimą.

F. G.





DZIKIE KACZKI PIECZONE

Kaczki dzikie, oczyszczone, jak zwykle, opalone i starannie obrane z supłów — co, przy młodych, jest dużą robotą — wypaproszyć i namoczyć na godzinę w obfitej, zimnej wodzie. Żołądki i wątróbki włożyć im pod skrzydełka lub do środka. Osolić kaczki wewnątrz i zewnątrz. Zawinąć każdą w cieniuchny plaster słoniny świeżej lub wędzonej. Ułożyć na brytfannie i piec, polewając tłuszczem, który wypłynie ze słoniny, potem wodą, uważając jednak, aby zawsze kaczki się piekły, a nie gotowały. Na dopieczeniu podlać obficie kwaśną śmietaną (pół szklanki śmietany na każdą kaczkę). Poddusić jeszcze minut parę. Duże kaczki „krakwy“ dzieli się na sześć części, mniejsze, „cyranki“ — na połówki. Oddzielnie należy udusić młode buraczki ze słoniną, śmietaną i odrobiną octu. Na środku półmiska kładzie się buraczki, wkoło układa pokrajane kaczki, na nich — zrumienioną słoninę. Sos precedzić przez sitko, połową polać buraczki i kaczki, drugą podać w sosjerce. Można też cały półmisek obłożyć przysmażonymi grzaneczkami z bułki, na nich ułożyć słoninę i polać je częścią sosu. Chcąc, aby kaczki dzikie były smaczne, nie należy pieczystego z nich zanadto przesuszać. Dobrze upieczone, stanowią wykwintne danie.

MUSZELKI Z DROBNYCH RYBEK

Wszelkie drobne rybki: jazgarze karaski, okońki, a nawet płotki — dadzą się użyć na tę przystawkę. Ugotowane w smaku z jarzyn, z cebulą, listkiem i pieprzem, rybki obrać jaknajdokładniej z ości, póki są gorące. Smak z nich się nie zmarnuje, gdyż można go użyć na zabielaną zupę rybną z kluseczkami lub kartoflami. Muszelki wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Podzielone na kawałki rybki ułożyć w piramidki. Można pomiędzy nie włożyć trochę pieczarek lub grzybów prawdziwych, pokrajanych na ćwiartki i podduszonych w maśle, kawałki kalafjorów lub szparagów, ugotowanych w osolonej wodzie, szyjki i łapki rakowe, jaja ugotowane na twardo i podzielone na cząstki — to, czem w danej chwili rozporządzamy. Na dziesięć muszelek zagotować litr dobrego mleka. Dwie łyżki mąki zasmażyć na biało z dużą łyżką masła, rozprowadzić ostudzonym mlekiem, rozbić dokładnie, aby kluseczek nie

było. Zagotować razem, osolić do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu. Sos powinien być tak gęsty, aby, ułożony na rybki, nie spłynął, ale pokrywał je równą warstwą. Polać nim muszelki, obsypać grubą warstwą ostrego sera tartego i zmieszanego z tartą bułeczką. Wstawić w gorący piec na dziesięć minut. Ser powinien się rozpuścić pod wpływem gorąca i uformować rumiany skrzep. Podawać bardzo gorące, aby nie opadły.

RYBA NA ZIMNO Z JARZYNAMI

Każdą większą rybę: sandacza, karpia, szczupaka, śliza, nawet ościstego, a stąd w pogardzie będącego jazia — można w taki sposób podać. Najprzód ugotować wszelkie jarzyny, jakie mamy w danym sezonie. Więc — zawsze: kartofle, marchew, pietruszkę; wiosną: szparagi; latem: groszek zielony, fasolkę, kalafjory; zimą: fasolę suchą, bulwę włoską i t. p. Pokrajać w drobną kostkę i zaprawić gęstym sosem majonezowym, jak na sałatkę. Sosu tego zrobić tyle, aby połowa została do pokrycia ryby. Rybę, po ugotowaniu, położyć na desce i prędko, a zreżnię rozplatać, starając się nie połamać. Z gorącej wyjąć starannie wszystkie, bodaj najdrobniejsze ości. Na półmisku ułożyć pod spód bardziej uszkodzoną połowę, pokryć ją jarzynkową sałatą, warstwą co najmniej tak grubą, jak sama ryba. Przykryć drugą połową, przyłożyć ogon i głowę, wynieść na chłód, aby ryba zupełnie ostygła. Teraz bardzo ostrym nożem pokrajać rybę, nie psując jej kształtu. Polać sosem majonezowym, ubrać wkoło pozostałą jarzynową sałatką, jajami na twardo, grzybkami marynowanymi, krajanymi w plastry ogórkami lub pomidorami. Tak przyrządzona ryba nadaje się bardzo do śniadań i kolacyj „à la fourchette“, gdyż daje się jeść bez kłopotu na stojąco.

BUDYŃ Z KAPUSTY

Sporą główkę białej, cukrowej kapusty, wagi od półtora do dwóch kilo, ugotować w całości w osolonym wrzątku. Ostudzić, usiekać drobno, odrzucając części głąbia. Dużą łyżkę masła zagotować ze szklanką wody lub mleka, na wrzątek wsypać trzy ćwierci szklanki mąki pszennej, wybijać łyżką, aż od rondla odstanie. Z tak zaparzonem ciastem zmieszać kapustę, dokładnie wyrobić, wbić trzy lub cztery żółtka, osolić do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu. Formę budyniową wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Białka pozostałe ubić na sztywną pianę, zmieszać z kapuścianą masą, przełożyć do formy, zamknąć pokrywą i gotować na parze nie mniej, niż półtorej godziny. Przed wydaniem przełożyć na półmisek, polać zrumienionem masłem z bułeczką, resztę masła podać w sosjerce. Zamiast ma-

sła, można do tego budyniu podać sos biały, śmietanowy z koperkiem, lub rumiany z korniszonami.

KABACZKI SMAŻONE

Najmłodsze kabaczki, rozmiaru dużego ogórka, mające zupełnie jeszcze nieuformowane ziarnka, wybornie smakują smażone. Umyć je, obetrzeć i nie obierając ze skórki, pokrajać na półcentymetrowe plasterki. Na dwa takie kabaczki, wagi około 30 deka, rozbić dwa żółtka z piętnastoma deka mąki, rozprowadzić wodą na ciasto nieco gęstsze, niż na naleśniki, osolić. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z resztą ciasta, wstawić naczynie z ciastem w miskę z zimną wodą, aby piana nie opadła. Na patelni rozpalić obficie szmalec, fryturę lub masło po połowie z oliwą. Plasterki kabaczków maczać w cieście i smażyć na bardzo rumiano. Dopiero po usmażeniu osolić bardzo drobną solą. Jeżeli potrawa udana, powinny placuszki być wydęte, prawie okrągłe i chrupiące. Ułożyć w piramidkę na półmisku, pokrytym serwetą, i podawać bardzo gorące, aby nie opadły.

GALARETA Z BORÓWEK

Czerwone, dojrzałe borówki zalać na miednicze wodą, aby tylko objęło. Gotować tak długo, aż jagódki zbledną i popękają. Przepędzić przez gęsty, płócienny czy flanelowy worek, mocno wycisnąć. Sok zmierzyć szklanką. Jeśli chcemy mieć galaretę słodką, bierzemy szklankę cukru na szklankę soku; na mniej słodką, taką, jak używamy na dodatek do pieczystego — trzy ćwierci szklanki, lub nawet pół szklanki cukru na szklankę soku wystarczy. Smażymy, jak wszystkie galarety, na ostrym ogniu. Należy mieć w pobliżu chłodny spodek, na którym po kropli próbujemy, czy galareta się ścina, co zwykle prędko następuje. Gorącą zlewamy do dobrze wygrzanych słoików. Wyborny dodatek do zwierzyny i drobiu. Może do pewnego stopnia zastąpić galaretę porzeczkową do sosów ze zwierzyny, a nawet do cumberlandu.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Papier albuminowy (białkowany) do obwiązywania słoików, owijania masła i t. p. przyrządza się w sposób następujący: rozbić białka na bardzo gęstą pianę i dodać na każde białko po jednym gramie soli morskiej i po pół grama soli oczyszczonej; rozmięszać, aby się te substancje rozpuściły, i maczać zwykły biały papier kancelaryjny w tym płynie; zostawić w nim, żeby nasiąkł, a następnie wysuszyć na powietrzu. Gdy dobrze uschnie, przeciągnąć gorącym żelazem od prasowania; używać, jak pęcherza, przed zawiązywaniem szybko umaczawszy w wodzie.

* * *

Aby poznać, czy smażona galaretka ma dosyć, trzeba, wlawszy odmierzony sok w rondel, zamoczyć w nim paleczkę drewnianą i naciąć w tym miejscu, dokąd sok dochodził; włożyć potem cukier, a gdy się rozpuści, smażyć z początku na większym, następnie na małym ogniu, uważając, aby sok wysmażył się do tej miary, ile go było przed włożeniem cukru.

* * *

Pielęgnując chorego na chorobę zakaźną, a chcąc zabezpieczyć się od zarażenia, trzeba: płókać często usta i nos, myć kilka razy dziennie ręce i twarz wodą przegotowaną, z dodatkiem kilku kropel wody utlenionej na szklankę, nie jadać nic w pokoju chorego, nosić stale przy nim duży fartuch i chusteczkę na głowie, które zdejmować, wychodząc z pokoju. Naczynia wszelkie, używane przez chorego, gotować w wodzie z dodaniem środka antyseptycznego. Bieliznę, zarówno pościelową, jak i osobistą chorego, zaraz po zdjęciu namoczyć w wodzie z lizolem.

* * *

Chcąc, żeby rosół, przyrządzony dla chorego, prędko nie skwaśniał, trzeba podczas gotowania dodać 1 gr. oczyszczonej sody na litr rosółu. Nie zmieni to wcale smaku rosółu, a zabezpieczy go w zupełności od zepsucia.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZY”, Rymarska 8, tel. 244-18

Nasza Mównica

Z krainy „Wiatru od morza“.

Przeszło półtora roku mieszkam i pracuję w cichej wiosce kaszubskiej. Przybyłam tu wśród zimy, gdy Kaszuby uspione były pod białym całunem śniegu. Dziwne, a silne wrażenie uczyniło na mnie pierwsze zetknięcie z tym zakątkiem naszego kraju: piękność jego podbiła odrazu serce i błysnęła myśl: synowie tej ziemi nie mogą być źli, chyba dusze ich podobne do krajobrazu.

Pierwsze stosunki z kaszubami. O, Boże, ja ich mowy zrozumieć nie mogłam! Patrząc na ich oczy, na ruchy warg, cieszyłam się, gdy ogólny sens zdania pojąć zdołałam!

Potem było coraz łatwiej — dziś już wszystko rozumiem, tylko mówić jeszcze mi trudno.

Zżywam się z Kaszubami coraz bardziej, zwłaszcza odkąd po raz drugi i trzeci przemówiła do mnie przyroda wiosną. Cud budzącego się życia jest tak wielki, taką żywiołową radość i taki majestat ma w sobie, że dusza staje przed nim cicha, jakby u progu świątyni.

Pokochałam całym sercem tę ziemię, tę działwę o jasnych, ocienionych długimi rzęsami, oczach, patrzących na mnie ufnie, ze szczerym, wesołym, dziecięcym uśmiechem, ten lud, witający mię przyjaznym pozdrowieniem.

Nie od początku tak było. Kaszubi niechętnie widzą ludzi z „ciepłych stron“, nieufni są, skryci, i krytycznie usposobieni. Mnie zaś przeszkadzał do zbliżenia się mój gwałtowny, wybuchowy temperament, który dopiero przy usilnej pracy woli pokroczyć mogę. Lecz już dawno pierwsze lody przełamane. Z dawnych „wrogów“ mam dziś przyjaciół, którzy mi chętnie zawsze idą z pomocą.

Zaczynam powoli poznawać duszę kaszubską, i widzę, że obok pewnych ujemnych stron, a te ma niestety każdy śmiertelnik, posiadają wiele pięknych, podziwu i naśladowania godnych. Wiele takich zdolności jest w tym ludzie, co widać zwłaszcza u inteligencji z niego wyszłej.

Tylko Kaszuby jeszcze śpią, ukołysane poszumem lasów i szmerem fal morskich i jeziornych.

Nie czuje lud drzemiącej w nim siły, może dlatego, że w znoju codziennym pochylony jest nad swą ubogą matką ziemią żywicielką...

Zaczyna się jednak powoli ruch. Budzą się młodzi, wchodzą w kontakt ze starszymi działaczami, chcą odrodzić Kaszuby, uspołecznić, stworzyć literaturę kaszubską, wypowiadają walkę niemczyźnie.

Praca czeka ich ciężka, ale wielka i piękna, której życie całe poświęcić warto.

W pracy tej mógłby być pomocny i nie kaszuba, lecz... to tak trudno mieszać się do spraw regionalnych, gdy się jest „obcym“.

Bardzo smutne jest, że kobieta kaszubka nie dorosła jeszcze do pracy na niwie społecznej, a szkoda, bo jest naogół zdolna i sprytna. Spychana była i jest naprawdę zawsze przez mężczyznę na drugi plan, dziewczynki nie kształci się prawie nigdy.

A więc budzić trzeba tę „białkę“ kaszubską, zrobić z niej rozumną, pożyteczną obywatelkę kraju, a wtedy i odrodzenie Kaszub będzie dążyło szybko wzwyż.

Może już jest jakaś organizacja, pracująca w tym kierunku? Proszę o informacje.

Sama jestem jeszcze zbyt młoda, niedoświadczona, zbyt krótko na Kaszubach, by pracować na własną rękę, a pragnę gorąco być pożyteczną; sama praca zawodowa już mi nie wystarcza, czuję się jeszcze jakby intruzem.

W zakończeniu, komunikuję wszystkim, którym sprawa polskości naszego wybrzeża morskiego leży na sercu, iż odbędzie się w stolicy Kaszub, Kartuzach, uroczysty zjazd pomorzan, dla przeciwstawienia się zakusom niemieckim, zadokumentowania polskości, oraz dla zorganizowania się w pracy nad odrodzeniem Kaszub.

Może ktoś zechce przybyć, zbliżka przyjrzeć się dążeniom i poczynaniom kaszubów, a zwłaszcza dowieść, że w pracy swej nie będą sami, że i ludzie z „ciepłych stron“ pragną i będą bronić Pomorza wraz z nimi, przed zaborczością sąsiada z Zachodu.

J. G. — Kartuzy

Jeszcze słówko o emancypacji mężczyzny.

Ucieszyłam się, czytając dowodzenia p. Kobyłeckiej z „Naszej Mównicy“ do mężczyzn: „To wy się zreformujcie!“. Święte słowa! Ja nad tem pracuję od dziesiątków lat, uczniów płci męskiej nakłaniając do równouprawnienia się wobec sprzętań, guzików do przyszywania etc. Ale choć to tak długo trwa, bo nie czekałam na Danję i Amerykę, praca moja więcej niż skromny plon przynosi, z powodu sprzeciwu... nie tatusiów wcale, tylko mamusięk...

Więc chciałabym powiedzieć: nie „wy się zreformujcie“ — tylko: „my was zreformujemy“. Bo nie tyle tym biednym mężczyznom, „ciągle zależnym

od kobiety“, wyzyskującym te, od których są zależni, przesadnym, egoistycznym, głupim póludziom — tylko nam doskonalszym, nam samym polecić należy tę reformę. W naszych rękach wzrasta nasz przyszły tyran, doskonale przez nas do tej roli wychowywany od niemowlęstwa, my zatem na siebie przyjąc musimy i odpowiedzialność za to, co jest i budowę lepszej przyszłości.

Działajmy przytem z umiarem i pedagogicznie; nie powalajmy naszego ucznia na dno, nie wdeptujemy go w błoto, by go potem uprzejmie zaprosić do podania sobie ręki, boć, gdyby ród męski był aż tak wszeteczny, jakim go w danej chwili widzi i opisuje w „Mównicy“ p. Kobyłecka — toby nie było wogóle żadnej ewolucyjnej możliwości — tylko... Herodowy wyrok: ausrotten! To się, Bogu dzięki, przeprowadzić nie da.

Czy przytem przy emancypowaniu mężczyzn koniecznie iść należy tą drogą, którą się szło ku emancypacji kobiety? Najpierw uczynić prawem odwetu — mężczyznę półczłowiekiem, łachmanem marnym, grzechotką półbogiń w odpowiednim momencie psychologicznym, potem wysilić się, żeby uczynić zeń coś w rodzaju kobiety, jak usiłowały pierwsze emancypantki stawać się prawie — mężczyznami?

Lepiej, sędzę, wychowaniem odpowiedniem równouprawnić istotnie obie płcie, z zastrzeżeniem, że jednak każda ma zachowywać swoje dodatnie, charakterystyczne cechy i pracę podzielić jak najmądrzej, ku pożytkowi wspólnemu, nie zapoznając przyrodzonych skłonności i uprawnień. Wtedy dobrze będzie, kiedy kamieniem węgielnym rodziny będzie nie „zmaganie się płci“ — nie sama nawet miłość — tylko rozumna, mocna przyjaźń.

M. B. z lubelskiego.

O informacje dla Matki.

Czy która z Pań Czytelniczek mogłaby wskazać mi niezbyt drogą stancję w inteligentnym, chrześcijańskim domu, możliwie w pobliżu Placu Teatralnego, od września lub później, dla mego syna, 17-letniego ucznia szkoły malarskiej, zdrowego, skromnych wymagań. Chodzi mi głównie o życzliwą, rodzicielską opiekę, aby syn mój czuł się jak w rodzinie i chętnie przebywał w domu. Pożądany wspólny pokój z dobrze wychowanymi rówieśnikami. Syn mój ukończył 6 klas gimnazjum państwowego i mógłby pomagać w nauce młodszej dziatwie szkolnej; poza tem, władając biegle językiem niemieckim, udzielać konwersacji niemieckiej dzieciom, względnie osobom starszym. Warunki do omówienia. Adres mój w Redakcji.

Urzędniczka łodzianka — Łódź.

Słów kilka o szczęściu

Dużo się mówi o szczęściu, każdy sobie życzy szczęścia, ale jak ono właściwie wygląda, tego ludzie

bardzo często nie wiedzą. A czyż nie jesteśmy stworzeni do szczęścia? O tak, tylko niestety dzisiaj pojęcie o szczęściu jest często tak spaczone, że przy bliższym przyjrzeniu się temu „szczęściu“, widzimy tylko jakąś nedorzeczną karykaturę.

Zgóry trzeba wyeliminować „szczęście“, oparte na zyskach materialnych, bo wiadomem jest, że nie deprawuje tak, jak zdobycie majątku.

Wogóle, można mieć wrażenie, że ludzie pomiedzy chwastami, jak: zazdrość, pycha, obłuda, kłamstwo i oszukaństwo duszą się poprostu i nie mogą znaleźć drogi wiodącej do prawdziwego szczęścia. I zbyt dużo ludzi małodusznych jest na świecie. O ciasne ramy ich widnokregu obija się wszystko, co wielkie i godne kochania, bo oni mierzą swoją miarą i nie uznają niczego, co nie jest dostosowane do ich ograniczonego ducha. Krytykomanja i najprostszy egoizm są wyraźną cechą ludzi tego pokroju.

Bywają też inni, z natury jakby predestynowani do negowania szczęścia. To są ludzie, patrzący na świat poprzez szare okulary obowiązku. W powodzi obowiązków tonie im wszystko, cóż więc dziwnego, że ci biedacy nie znają szczęścia?

Jeżeli się tej kategorii ludzi bliżej przyjrzymy, to zauważymy często, że w ich krańcowej obowiązkowości tkwi pewna słabość. Człowiek taki ma niechybnie charakter o wielkich walorach, lecz, jeśli, jak to nieraz bywa, okoliczności życia nie pozwolą mu rozwinąć swych sił należycie, staje się tragikomicznym manekinem, który depce uporcezywie po fiołkach i twierdzi, że ich wogóle niema.

Czem jest zatem szczęście?

Jest to uczucie wyzwolone, uczucie, rodzące się w tajnych zakątkach duszy i nie mające absolutnie nic wspólnego z życiem zewnętrznym, nikt bowiem nie może nam dać szczęścia, o ile sami nie odczuwamy go w jaźni naszej. Szczęśliwymi możemy być wszyscy, o ile stać nas na szczerze zadowolenie, bo droga do szczęścia wiedzie przez głębokie, wewnętrzne zadowolenie. Chcąc zatem być szczęśliwymi, musimy najpierw starać się o wewnętrzną równowagę, abyśmy mogli być zadowoleni, a potem rozkwitnie w nas to ciche, skromne, prawdziwe szczęście, którego nam nikt odebrać nie może, bo myśmy je sobie sami stworzyli.

Najpewniejszą zaś drogą do szczęścia jest, obok spokojnego sumienia, dbałość o zdrowie i wiara we własne siły.

Zdrowy duch w zdrowem ciele daje nam możliwość osiągnięcia naszych celów życiowych, a te tworzą szczęście. Nie trzeba nigdy wątpić w siebie i swoje zamiary, wierzyć gorąco w to, że każdy plan godziwy uda nam się wykonać, a wtedy uda się napewno. Gorycz, zwątpienie, zły humor — to najwięksi wrogowie psychiczni człowieka, pogoda i wiara w siebie to drogi do powodzenia i zasadnicze składniki uczucia, stanowiącego szczęście.

Ola Kowalska, Bydgoszcz.